ISSN 1427-6720

Pionierzy

NR 3(7) 98 ROK III
ZIELONA GÓRA
Cena 2 zł

CZASOPISMO SPOŁECZNO-HISTORYCZNE

- ***Uroczystość w Sali Wspomnień***
- ***Był taki czas***
- ***M.S. „Ziemia Lubuska”***
- ***Ogród botaniczny w Zielonej Górze***
- ***Ksiądz Kazimierz Michalski***

Nekropolia zielonogórska

Tu wilgoć wtłacza w ziemię
każdy krok głośniejszy
śpi nawet ciężka zieleń
odurzona ciszą

Stąpam lekko na spokój
kamieniom na chwalę
prochom na pamiętanie

Wieczne odpoczywanie
raczcie im dać drzewa
a światłość wiekuistą
niech im odda słońce

Pozwólcie ptakom śpiewać
apelu nie trzeba
w tym miejscu każdy werbel
będzie brzmiał fałszywie

Zenon Czarnecki

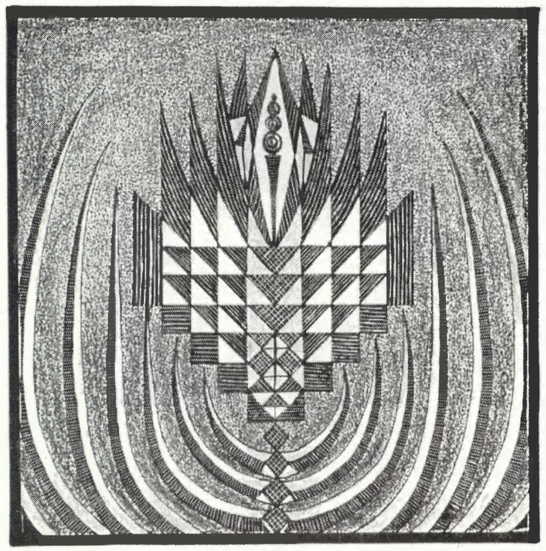

Il. Stefan Słocki

Pionierzy
CZASOPISMO SPOŁECZNO-HISTORYCZNE

Wydawca:
Sekcja Historyczna Stowarzyszenia Pionierów Zielonej Góry, ul. Stary Rynek 1, Ratusz – Sala Wspomnień, 65-067 Zielona Góra.

Redakcja:
Redaguje Kolegium w składzie: Maria Gołębiowska, L. Krutulski-Krechowicz (fotograf) Wiesław Nodzyński, Tomasz Nodzyński, Wojciech Strzyżewski.

Adres Redakcji:
ul. Stary Rynek 1, Ratusz - Sala Wspomnień, 65-067 Zielona Góra

Skład komputerowy i opracowanie graficzne:
Heroldia P.R.

Korekta:
Grażyna Karpińska

Okładka:
Konkaterda św. Jadwigi z odnowioną wieżą fot. Leszek Krutulski-Krechowicz

Druk:
Drukarnia „EURODRUK" Zielona Góra

Materiałów nie zamawianych redakcja nie zwraca. W materiałach nadesłanych redakcja zastrzega sobie prawo dokonywania zmian redakcyjnych. Za treść reklam redakcja nie odpowiada.

Od redakcji

Sala Wspomnień, w której m.in. redagujemy nasz kwartalnik, ma już pięć lat, a my wydajemy siódmy, trzeci w tym roku jego numer. Jak zwykle jest on bogaty w interesujące teksty wielu autorów.

Tadeusz Dzwonkowski kontynuuje swoją opowieść o dziejach pierwszej po wojnie w Zielonej Górze parafii rzymsko-katolickiej, którą kierował ks. kanonik Kazimierz Michalski.

Wiktor Tadeusz uzupełnia swoje okupacyjne wspomnienia opublikowane w nr 1/5/98. Zesłany na roboty do Niemiec, był świadkiem aresztowania w 1944 r. w Konradswalde ukrywającego się tutaj uczestnika antyhitlerowskiego spisku (zakończonego nieudanym zamachem na Hitlera) nadburmistrza Lipsk dr K. F. Goerdelera.

Córka nieodżałowanego prof. Władysława Korcza – **Jadwiga Korcz-Dziadosz**, ciepło wspomina swojego ojca, który w 1948 r. wrócił do Polski i do rodziny po czteroletnim pobycie na zesłaniu na Syberii. **Stanisława Łepkowska** pisze, jak w czasie wojny skierowana została do obozu pracy a nie do obozu koncentracyjnego. Była to jednak różnica...

Jadwiga Kolibabka pisząc o rodzinnym Polesiu (cz. III) wspomina historyczną ciekawostkę: w rodzinnej miejscowości przewodniczącej Sekcji Historycznej i wydawcy naszego pisma, Marii Gołębiowskiej, Szostakowie koło Brześcia, urodził się także Romuald Traugutt, przywódca Powstania Styczniowego. Przy okazji wiele interesujących szczegółów. O karygodnym naruszeniu zasobów archiwum parafii kościoła św. Jadwigi, stanowiących istotną część zielonogórskiego dziedzictwa kulturalnego, pisze **Grzegorz Chmielewski**.

O wspólnym dziele plastycznym, które przyozdobiło w 1967 r. wnętrze polskiego masowca „Ziemia Lubuska", opowiada **Witold Nowicki**. **Jan Muszyński** wspomina barwną postać pioniera zielonogórskich plastyków Stefana Słockiego. Na str. 2 okładki reprodukcja jego impresji malarsko-muzycznych. To tylko niektóre pozycje tego numeru, które polecamy naszym Czytelnikom.

Mieszcząca się w zielonogórskim Ratuszu (na parterze, wejście C, pok. 30) Sala Wspomnień Stowarzyszenia Pionierów Zielonej Góry obchodziła w tym roku pięciolecie swojego istnienia.

Sala Wspomnień w Ratuszu ma pięć lat

Jak stwierdzono w publikacji „Zrzeszenia Pionierów – nowe zjawisko społeczne na Ziemiach Zachodnich" (Instytut Zachodni w Poznaniu, zeszyt nr 2(1998) jest to jedyna placówka tego typu na tym obszarze. Od początku, tj. od 28 sierpnia 1993 roku, kiedy to Urząd Miejski przekazał w użytkowanie Sekcji Historycznej Stowarzyszenia, której przewodniczy Maria Gołębiowska, stała się ona miejscem, gromadzenia, zabezpieczania i przechowywania często rozproszonych już dzisiaj dokumentów, pamiątek z pionierskich lat 1945-1949.

Już pięciolecie.

Na początku trzeba było przekonać władze miejskie o potrzebie utworzenia takiej placówki. Dobrze to rozumieli sami pionierzy. Wielce przychylni byli tej sprawie prezydent miasta Roman Doganowski, wiceprezydent Edward Mincer, p. Maria Słaba z wydz. Gospodarki UM, dr Stanisław Kowalski – konserwator zabytków. Znalazły się pieniądze na niezbędny remont sali, wyposażenia jej w meble, gabloty, stelaże, materiały biurowe.

Ale o wypełnienie Sali Wspomnień historyczną treścią, która dziś jest jej chlubą, zadbali sami pionierzy a przede wszystkim członkowie Sekcji Historycznej, którzy systematycznie gromadzili i gromadzą do dzisiaj interesujące archiwalia, zdjęcia z pierwszych powojennych lat. Są wśród nich wspomnienia lekarzy, nauczycieli, kolejarzy, dokumenty osobiste, odznaki i odznaczenia, mapy, kroniki tworzących się instytucji i przedsiębiorstw. Np. zarządzenia pierwszego burmistrza Zielonej Góry Tomasza Sobkowiaka, wykaz członków Tymczasowej Rady Narodowej z 1945 r., pierwszy plan miasta również z 1945 r. wydany staraniem, drukarza, wydawcy i księgarza Alfonsa Bogaczyka. Mówią one, że w tych pierwszych latach nie było łatwo, często niebezpiecznie, ale też, że ci pierwsi osadnicy, którzy przybyli do Zielonejgóry (tak się to wtedy pisało) znaleźli w niej swój dom i podołają ogromowi czekających ich zadań. I podołali! Świadczy o tym współczesna Zielona Góra. Pamięć o tamtym czasie pełnym goryczy minionej wojny i eksplozji radości na wieść o jej zakończeniu przywołuje już dzisiaj tylko, umieszczona centralnie w gablocie pod szkłem, tytułowa strona „Głosu Wielkopolskiego" – Dodatek Nadzwyczajny – ogłaszająca bezwarunkową kapitulację faszystowskich Niemiec. Jak daleko odeszliśmy już od tego! Nie powinniśmy jednak zapominać.

To jest główne przesłanie Sali Wspomnień i jedno z głównych zadań Komisji Historycznej. W tym celu Sala otwarta jest codziennie w godzinach 11.00-17.00, w niedzielę od 11.00 do 14.00. Pełnią w niej dyżury członkowie Komisji, do ich obowiązków należy przyjmowanie i oprowadzanie wycieczek (objaśnianie znajdujących się w niej eksponatów, informowanie o historii, zwłaszcza powojennej miasta. Helena Wierzbicka prowadzi album zmarłych pionierów a także opiekuje się grobami żołnierzy zmarłych w wojskowym szpitalu w Zielonej Górze w latach 1945-46. Jadwiga Młynarczyk jest odpowiedzialna za sprawy gospodarcze. Jadwiga Kolibabka prowadzi sekretariat Komisji. Na ostatnim Zebraniu Sprawozdawczo-Wyborczym SPZG poinformowano zebranych, że największą ilość dyżurów w Sali miała Helena Wierzbicka (408) Maria Gołębiowska (295), Helena Piłat (285), Julia Riedel (252), Aleksandra Piłat (211), Stanisław Dyra (212), Jadwiga Kolibabka (159), Jadwiga Młynarczyk (38), Czesław Lulek (26).

Podane godziny dotyczą jedynie dyżurów. Czas poświęcony zebraniom oraz dodatkowym pracom związanym z prowadzeniem Sali nie jest dołączony do obliczeń.

Mówi Maria Gołębiowska: Po uzgodnieniu z Wydziałem Oświaty działa Komisja Młodzieżowa. W każdy pierwszy piątek miesiąca o godzinie 17-tej Komisja Młodzieżowa zbiera się na spotkania. Drugi piątek miesiąca Komisja Młodzieżowa poświęca wyłącznie sprawom szkoleniowym; spotyka się z pionierami lub z zaproszonymi gośćmi. Trzeci piątek miesiąca jest poświęcony Sekcji Historycznej z udziałem członków Komisji Młodzieżowej. Zapraszamy osoby z różnych środowisk i miejsc pracy. Zadaniem tych spotkań jest utrzymanie kontaktów między pionierami poszczególnych instytucji i zakładów pracy lat 1945-1947. Słuchamy relacji świadków pierwszych historycznych lat Zielonej Góry. W okresie minionego pięciolecia gościliśmy pracowników Starostwa, Zarządu Miasta, Państwowego Urzędu Repatriacyjnego (PUR), pracowników Polskich Kolei Państwowych, Urzędu Skarbowego, pracowników Banku, szkolnictwa, poczty (protokoły spotkań są do wglądu). W ramach piątkowych spotkań odbywały się również spotkania i prelekcje z zaproszonymi gośćmi. Byli nimi prof. hab. Hieronim Szczegóła, dr Stanisław Kowalski, dr Władysław Korcz, dr Tadeusz, Dzwonkowski, dr prof. hab. Jerzy Majchrzak, mgr Zelek, prof. dr hab. Joachim Benyskiewicz, dr Polus, mgr Orliński, mgr Bożena Mania, były kurator oświaty mgr Henryk Baturo. Ze środowiska lekarzy św.p. dr Stanisław Pytlewski, dr Konrad Perkowski oraz znana rodzina lekarzy Jodłowskich. W czwarty piątek miesiąca Sekcja Historyczna zbiera się na zebraniach wewnątrzorganizacyjnych. Ustalamy miesięczne dyżury, planujemy spotkania, omawiamy problemy wynikłe w ciągu miesiąca.

W 1996 r. w marcu zorganizowaliśmy wystawę prac ręcznych pionierów. Wystawa spotkała się z dużym zainteresowaniem. Dostarczono wiele ciekawych prac tak, że planowana na tydzień trwała przez cały miesiąc. Druga wystawa, która odbyła się w 1997 r. w okresie dni Zielonej Góry dotyczyła 125-lecia Browaru w Zielonej Górze. Wystawa trwała dwa tygodnie. Eksponowano materiały związane z produkcją i konsumpcją piwa. Szczególnym zainteresowaniem cieszyły się stare kufle.

Otwarcie sali.

Członkowie Sekcji Historycznej brali udział otwarciu wystawy w Muzeum Lubuskim malarstwa pioniera Mildnera Nieckowskiego, w otwarciu w Muzeum Etnograficznym w Ochli wystawy robót ręcznych i rzeźby oraz w tym roku wystawy „Polesie wczoraj i dziś". Z Przewodniczącą Heleną Magalas byłyśmy zaproszone na 90 rocznicę Związku Nauczycielstwa Polskiego. Byłyśmy również w szkole nr 10 na olimpiadzie międzyszkolnej „Wiedzy o Naszym Mieście", na której między innymi członek Sekcji Młodzieżowej Kuba Siwiński otrzymał pierwszą nagrodę – rower górski. Z czterema członkami Sekcji Historycznej byłyśmy zaproszone na spotkanie Koła Historycznego przy WSP. Byłyśmy również w Muzeum Lubuskim na zebraniu miłośników Fortyfikacji.

Ważnym osiągnięciem było rozpoczęcie druku pisma „Pionierzy". Myśl o wydaniu pisma dokumentującego skomplikowane losy ludzi, którzy przybyli do naszego miasta w pierwszych powojennych latach, żyła długo w środowisku pionierów. Szczególnie mówiono o tym na zebraniach Komisji Historycznej, w czasie spotkań z ciekawymi ludźmi. Na jednym z takich spotkań z prof. Hieronimem Szczegółą, który udzielił nam wiele rad i wskazówek, pomysł ten został skrystalizowany. Wkrótce powołaliśmy komitet organizacyjno-redakcyjny w składzie: Maria Gołębiowska, Wiesław Nodzyński, Tomasz Nodzyński, Wojciech Strzyżewski, Leszek Krutulski-Krechowicz. Trzeba było zdobyć niezbędne finanse. Pomocy udzielili nam Urząd Miejski, zielonogórski Polmos, Oddział Zielonogórski Przedsiębiorstwa Totalizator Sportowy, osoby prywatne oraz Rada Izby Notarialnej w Poznaniu. Ustalono tytuł pisma „Pionierzy" i zarejestrowano go w Sądzie Wojewódzkim w Zielonej Górze. Zdecydowano, że do czasu zgromadzenia większych, niezbędnych na wydawnictwo środków, pismo ukazywać się będzie raz na kwartał. Ustalono w trakcie dyskusji redakcyjną koncepcję, profil pisma.

W pierwszym numerze „Pionierów", który ukazał się w listopadzie 1996 roku pisaliśmy, że łamy pisma chcemy poświęcić najnowszej historii Zielonej Góry widzianej zarówno przez pryzmat wspomnień i relacji świadków wydarzeń, jak i opisywanej na podstawie różnych źródeł przez historyków. Zależy nam bardzo na przedstawieniu historycznej prawdy, ale także na uchwyceniu klimatu czasu, atmosfery pierwszych, pionierskich lat. Wydaliśmy już sześć numerów pisma, które spotkało się z zainteresowaniem nie tylko pionierów. Udało się zgromadzić wokół pisma spory krąg autorów o znanych nazwiskach, jak np. Grzegorz Chmielewski, Tadeusz Dzwonkowski, Jan Muszyński, Zbigniew Bujkiewicz.

Przygotowujemy nr 7 „Pionierów", w którym znajdzie się również sporo interesujących materiałów. Nie ukrywamy jednak, że pismo boryka się nadal z kłopotami finansowymi i zespół redakcyjny nadal poszukuje w miarę stabilnych sponsorów, wśród których najchętniej widzimy Urząd Miejski, albowiem jesteśmy przekonani, że pismo służy nie tylko dokumentowaniu historii miasta, lecz także jego promocji; jest jego dobrą wizytówką.

Redakcja

KRONIKA PIONIERÓW

Wykaz zmarłych członków Stowarzyszenia Pionierów Zielonej Góry:

1. Juliana Zaporowska, lat 75 – zm. 2.07.1998 r.
2. Karol Swatek, lat 80 – zm. 19.07.1998 r.
3. Jan Zieleziński, lat 84 – zm. 25.07.1998 r.
4. Stanisław Kowalczyk, lat 84 – zm. 8.08.1998 r.

Tadeusz Dzwonkowski

Ksiądz Kazimierz Michalski (3)

Sukcesy odnoszone w organizacji różnych form życia parafialnego uskrzydlały księdza Michalskiego, natomiast troską napawały go wydarzenia polityczne. Prowadzona od grudnia wrzaskliwa kampania wyborcza do Sejmu Ustawodawczego, zdominowana przez PPR i połączona z aresztowaniem 18 stycznia 1947 r. 68 najbardziej aktywnych członków opozycji, była kolejną oznaką zmieniających się czasów. Na razie jednak inicjatywy księdza proboszcza nie napotykały na bezpośrednie przeciwdziałania władz. 16 lutego odbyło się 40–godzinne nabożeństwo, Popielec i rekolekcje wielkopostne przyciągały wiernych. W Wielkim Tygodniu przeprowadzono zbiórkę dla biednych, a msza św. rezurekcyjna zgromadziła taki tłum, że „aż zapełnił się plac i ulice przed kościołem".

Wiosną 1947 r. zielonogórskie Kolo Byłych Więźniów Politycznych, do którego należał również ks. Michalski, wystąpiło z inicjatywą odbudowy kaplicy położonej wśród zaniedbanych winnic przy ul. Juliusza Słowackiego. Ustalono, że została ona zbudowana w 1314 r. jako wotum dziękczynne w czasach panującej dżumy. W połowie XIX w. kaplicę zamieniono na domek winny. Zdewastowana, po wojnie stała bezużyteczna. Poświęcenie kaplicy odbyło się 3 maja 1947 r. Po mszy św., celebrowanej wówczas na placu przed kościołem Matki Boskiej Częstochowskiej, w procesji z udziałem niemalże wszystkich organizacji kościelnych i świeckich, w asyście sztandarów i rzeszy wiernych, został przeniesiony na Winnice obraz Matki Bożej Nieustającej Pomocy. Ufundował go ks. Kazimierz Michalski. W końcowej fazie uroczystości poświęcono symboliczny grób ofiar obozów koncentracyjnych. Uroczystość ta niosła zarówno religijne jak i polityczne przesłania, była wyrazem wiary i jednocześnie przestrogą. Niewątpliwie taki charakter chciał jej nadać ks. Michalski.

W Boże Ciało, które w 1947 r. przypadło 13 czerwca, zorganizowano aż 3 uroczyste procesje. Wzięły w nich udział poczty sztandarowe cechów, orkiestra i strażacy. Jednak najbardziej okazale wypadła wizyta administratora apostolskiego ks. dra Edmunda Nowickiego. Sprawował on władzę biskupią na obszarze najrozleglejszej wówczas w Polsce, bo liczącej około 44 km kw., kościelnej jednostki administracyjnej. Aby godnie powitać dostojnego gościa, zielonogórzanie utworzyli specjalny komitet powitalny pod przewodnictwem starosty. Wyłoniono także komisję reprezentacyjną, na czele której stanął sędzia Józef Stachurski. W sobotę, 21 czerwca o godzinie 15, na moście w Cigacicach ks. administratora przywitał starosta zielonogórski Jan Klementowski, po czym naprędce uformowany orszak z banderiami konną i rowerową podążył do miasta. W Zawadzie, Chynowie i na rogatkach miasta wystawiono bramy powitalne. Przedstawiciele administracji państwowej, władz miejskich i organizacji społecznych ciągnęli pospołu powóz biskupa od rogatek miasta przy ul. Sulechowskiej aż do ratusza. W tym czasie na rynku zgromadziło się kilkanaście tysięcy zielonogórzan. Przy nieustających wiwatach zgromadzonych, w szpalerze ustawionym przez dzieci gość i członkowie komitetu przeszli do trybuny ustawionej przed ratuszem. Przemówienie powitalne wygłosił Mikołaj Mesza. Następnie zabrali głos przedstawiciele organizacji młodzieżowych i korporacji cechowych. Po ceremonii powitania orszak podążył do kościoła św. Jadwigi. Tuż przed kościołem powitał ks. administratora wiceprzewodniczący rady parafialnej Józef Stachurski, a następnie przy drzwiach kościoła ks. proboszcz. Wieczorem w Domu Katolickim (obecny budynek Filharmonii Zielonogórskiej) odbyła się uroczysta akademia. Jak zapisał ks. Michalski, na placu (Wielkopolskim) ustawiono specjalne głośniki, dla tych którzy się nie pomieścili w budynku. W niedzielę rano, w kościele pw. Zbawiciela ks. administrator odprawił sumę pontyfikalną, a po południu udzielił bierzmowania dla 3500 młodzieży.

Niewątpliwy sukces organizacyjny i religijny ks. Michalskiego nie pomógł mu w obronie prawa do dzierżawy budynku szkolnego przy ul. Wyspiańskiego. Mieścił się tam internat „Caritas Academica". Kwaterowano w nim młodzież uczącą się w zielonogórskich szkołach średnich. Kolejne sesje rady miejskiej, które organizowano w lipcu i sierpniu, były niemalże całkowicie poświęcone tej sprawie. Z punktu widzenia PPR sprawa dzierżawy tego budynku stawała się prestiżowa. Należało ukarać księdza Michalskiego za antykomunistyczne wypowiedzi i ulokować w budynku szkołę Robotniczego Towarzystwa Przyjaciół Dzieci. Także wówczas po raz pierwszy zajęto się sprawą cmentarza. Niektórym działaczom PPR przeszkadzały organizowane przez Michalskiego kondukty żałobne, które najczęściej ciągnęły przez centrum miasta. Brak odgórnych regulacji prawnych nie pozwał na podjęcie uchwały „o zeświecczeniu pogrzebów". Po kolejnych zmianach w składzie rady miejskiej władze wypowiedziały jednak umowę dzierżawy budynku przy ul. Wyspiańskiego. Rozpoczęto nagonkę propagandową na sędziego Stachurskiego, który zastępował chorego Tomasza Sobkowiaka na stanowisku przewodniczącego rady parafialnej. Nad Zieloną Górą zbierała się burza polityczna. Przygotowywano się do aresztowania starosty Jana Klementowskiego i grupy jego urzędników.

Tymczasem 15 sierpnia odbyła się uroczystość błogosławieństwa dzieci urodzonych w Zielonej Górze. W końcu sierpnia przeprowadzono składkę na organizowane wówczas seminarium duchowne w Gorzowie. Zebrano około 130 000 złotych. 6 września ks. Michalski zorganizował w Domu Katolickim koncert profesora Józefa Pawlaka z Poznania. Na początku października urządzono w Zielonej Górze II Tydzień Miłosierdzia pod hasłem „Ratujmy człowieka". W ostatnim tygodniu przybyli do Zielonej Góry jezuici. Płomienne kazania zakonników przyciągnęły tłumy. Do komunii św. przystąpiło wówczas 22500 osób. W ostatnim dniu misji od kościoła Zbawiciela przez miasto ruszyła procesja z krzyżem misyjnym. Stanął on przed kościołem św. Jadwigi. Podobnie było 26 października 1947 r. w czasie procesji z okazji Święta Chrystusa Króla. Jak oceniono – w zorganizowanej wówczas procesji brało udział około 15 000 osób. Również – jak zapisał ks. Michalski – „tłumy, dotąd niespotykane" zjawiły się na cmentarzu w Zaduszki.

Tak duże liczby uczestników stały się jednym z argumentów wspierających tezę o ogromnych wpływach proboszcza. Władze, nie mogąc go zaatakować bezpośrednio, zarzucały mu, że prowadzi „politykę" wśród młodzieży, przeciwstawiając się rugowaniu nauczania religii w szkołach. Ostatecznie 28 listopada 1947 r. na posiedzeniu Powiatowej Rady Narodowej uchwalono rezolucję podkreślającą, że „działalność księdza jest aspołeczna i szkodliwa dla narodu polskiego". Upoważniono Prezydium PRN do wszczęcia energicznych kroków, ale tym razem ograniczyły się one do rozmowy starosty z proboszczem.

Nie zdołano jednak ograniczyć działalności duszpasterskiej i organizacyjnej ks. Michalskiego. Na przełomie grudnia i stycznia kilkanaście razy, bez zezwolenia niedawno utworzonego w Zielonej Górze oddziału cenzury, wystawił jasełka, w lutym 1948 r. aktywnie włączył się w Akcję Trzeźwości Narodu. Prelekcje w Domu Katolickim wygłosili wówczas lekarze: Albin Bandurski, Wanda Serafińska, Izabela Pieniężna i Władysław Pręgowski. Zorganizowano wówczas Bractwo Trzeźwości, nad którym opiekę przejął ks. Leon Misiuda. 19 marca, w obecności przedstawicieli „całego rzemiosła", zorganizowano poświęcenie sztandaru Cechu Stolarskiego. W kilka dni później otwarto kaplicę w Szpitalu Powiatowym przy ul. Wazów.

Tymczasem rozpoczęto realizację zapowiedzi z lipca 1947 r. o utworzeniu szkoły Robotniczego Towarzystwa Przyjaciół Dzieci. Pod naciskiem PPR organizowano spotkania z rodzicami w fabrykach i urzędach. Stosując różnorodne metody nacisku, zmuszano ich do podpisywania deklaracji o wysłaniu dzieci do tych szkół. Zgoda na naukę dziecka w szkole RTPD oznaczała rezygnację z nauczania religii. „Rodzice się bronią, wielu ulega pod presją albo ze strachu. Przychodzą do mnie i płaczą" – zapisał ks. Michalski. Postanowił działać natychmiast. Komunikat w obronie nauki religii w szkołach wygłoszony kilkakrotnie z ambony i kolejne głośne protesty księdza spowodowały następną interwencję UB.

Swoistą formę odpowiedzi dla władz był bardzo liczny udział zielonogórzan w procesji Bożego Ciała. Okres wakacyjny wyciszył nabrzmiewający konflikt, zwłaszcza, że od nowej szkoły dystansowali się niemalże wszyscy nauczyciele. „Inteligencja tkwi w poglądach najbardziej wstecznych" – ocenił ich postawę wobec RTPD I sekretarz KP PPR Wacław Karubin. Dopiero 19 sierpnia władzom udało się utworzyć specjalną sześcioosobową sekcję „postępowych" pedagogów. W odpowiedzi, 29 sierpnia 1948 r., ks. Michalski zorganizował zebranie wszystkich organizacji kościelnych i kół rodziców. Przedmiotem narady była sprawa nauki religii. Mimo przeciwdziałania proboszcza i znacznej części rodziców zorganizowano szkołę RTPD. Uczęszczały do niej dzieci wyższych urzędników, aparatu partyjnego i Urzędu Bezpieczeństwa.

Mimo pierwszych ograniczeń ks. Michalski rozwijał nadal życie religijne. Nabożeństwa uświetniane występami chóru parafialnego, liczne koncerty religijne, między innymi z udziałem zwolnionego wówczas z więzienia dra Romana Mazurkiewicza stały się niemalże codziennością. Jeszcze we wrześniu 1948 r. powstało trzecie przedszkole pw. św. Kazimierza. Administrowanie parafią liczącą już wówczas wraz z podzielonogórskimi wioskami około 38 000 wiernych stawało się niemożliwe. Dlatego też 20 lutego 1949 r. na podstawie dekretu ks. administratora apostolskiego powołano nową parafię zielonogórską. Otrzymała ona wezwanie Najświętszego Zbawiciela. Do parafii włączono także kościół św. Józefa i dom Sióstr Służebniczek. Proboszczem nowej parafii został ks. Wincenty Kowalski, były dyrektor księgarni św. Antoniego w Gorzowie. Pochodził z Gniezna, był kolegą szkolnym i seminaryjnym ks. Michalskiego. Podobnie jak ks. Michalski przebywał w obozach koncentracyjnych, w Dachau i Gassen. Nowego proboszcza w pracy duszpasterskiej wspomagał ks. Franciszek Pochwała. Mimo sprzeciwu miejscowych władz 17 kwietnia otwarto kaplicę w podzielonogórskim Jędrzychowie.

10 kwietnia 1949 r., tuż po zakończeniu rekolekcji wielkopostnych, odbyła się pierwsza w Zielonej Górze Procesja Krzyżowa. Jej uczestnicy, których było kilka tysięcy, przynieśli krzyże. Procesja wyruszyła z kościoła św.

Jadwigi i udała się do kościoła Zbawiciela „niosąc wysoko krzyże i śpiewając pieśni wielkopostne". Oprócz oczywistego celu religijnego tak zorganizowana procesja miała również charakter manifestacji przywiązania społeczeństwa do Kościoła.

Tymczasem od września 1949 r. rozpoczęto w prasie i radiu nagonkę na zasłużoną w niesieniu pomocy najuboższym kościelną organizację „Caritas". Chodziło głównie o to, aby pozbawić Kościół wpływu na biednych i uzależnić od władz państwowych całe społeczeństwo. W styczniu 1950 r. urzędnicy państwowi przeprowadzili kontrole niemalże we wszystkich jego oddziałach, co oznaczało bezpośrednią ingerencję władz w życie kościelne. W tej sytuacji 6 lutego 1950 r. ks. administrator apostolski rozwiązał diecezjalną organizację „Caritas". W kilka dni później ogłoszono w Zielonej Górze przejęcie „Caritasu" oraz przedszkoli przez państwo. Zachowały one nadal swą nazwę, stały się jednak instytucjami kontrolowanymi przez władze. Tak stało się w całym kraju. Dlatego też Episkopat Polski wydał odpowiedni list do wiernych, w którym wyjaśniał swe stanowisko. Tymczasem 11 lutego 1950 r. do ks. Kazimierza Michalskiego przybyli prezydent miasta Józef Ziarnkowski i pracownik Urzędu Bezpieczeństwa z żądaniem, aby proboszcz odstąpił od czytania listu. Zażądali nawet stosownej deklaracji na piśmie. Ksiądz jednak odmówił i 12 lutego odczytał list z ambony. Następnego dnia został aresztowany pod pretekstem „rzekomego odmówienia posług religijnych niejakiej Tasińskiej dla jej przekonań politycznych". Uzasadniono, że jest to areszt prewencyjny. Ks. Kazimierz Michalski wrócił z więzienia 24 kwietnia 1950 r.

Pod koniec stycznia 1951 r. władze państwowe zlikwidowały Administrację Apostolską i na ks. Edmunda Nowickiego nałożyły areszt domowy. Od tego czasu rozpoczęto bezpardonową nagonkę na księdza. 18 czerwca 1950 r. ks. proboszcz nie otrzymał zezwolenia na postawienie ołtarzy na pobliskich ulicach, dlatego też procesja Bożego Ciała została zorganizowana jedynie na placu przykościelnym. 6 lipca 1951 r. urzędnicy Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w asyście milicji postanowili zająć Dom Katolicki. Według oficjalnej wersji władz – był on niezbędny w celu utworzenia szkoły pielęgniarek. Faktycznie chodziło o ograniczenie działań proboszcza w zakresie nauki religii i popularyzacji kultury katolickiej. Jednakże dzięki nieugiętej postawie proboszcza i zdecydowanemu poparciu dużej grupy wiernych, zabrano wniesione meble i pozostawiono Dom w użytkowaniu parafii. W lutym 1952 r. Wojewódzka Komisja Lokalowa zlikwidowała ogniska parafialne rozlokowane w budynkach mieszkalnych, wypowiedziano również prawo do nauczania religii ks. Świerkowskiemu i zabroniono młodzieży przebywającej wówczas masowo w internatach uczęszczania na naukę religii i nabożeństwa. Wydawało się, że nastąpi koniec zorganizowanego, otwartego życia religijnego.

Wówczas to, 3 maja 1952 r., do Zielonej Góry przyjechał prymas Polski arcybiskup Stefan Wyszyński, który wizytował pozbawione kanonicznego kierownictwa Ziemie Zachodnie i udzielał bierzmowania młodzieży . Wówczas to ksiądz Michalski uzyskał godność kanonika. Spotkanie ks. prymasa z zielonogórzanami odbyło się o 18,30 przed Domem Katolickim. Tłumy, jakie zebrały się wówczas na ulicy Żeromskiego, w rynku i w okolicznych uliczkach, przeszły najśmielsze oczekiwania proboszcza. Następnego dnia, 4 maja w godzinach przedpołudniowych sakrament bierzmowania przyjęło 1300 osób.

Wizyta prymasa była niewątpliwym moralnym wsparciem dla ks. Kazimierza Michalskiego, ale nie zapobiegła kolejnym atakom władz. Po uroczystościach Bożego Ciała, na które jak dotychczas przyszły grupy wiernych, 30 czerwca 1952 r. został on oskarżony o nielegalne „zorganizowanie większej grupy ludzi" i wszczęto przeciwko niemu postępowanie prokuratorskie. Nie przyniosło ono jednak rozstrzygnięć.

W lutym 1953 r. Rada Państwa wydała dekret o obsadzaniu stanowisk duchownych, według którego każdy z nominatów na biskupów i proboszczów miał uzyskać pozytywną akceptację właściwej rady narodowej. Nakładał także obowiązek ślubowania kapłanów, że będą wspierali budowanie państwa socjalistycznego, na co nie chciał się zgodzić ks. Kazimierz Michalski. W związku z tym władze wojewódzkie zażądały usunięcia proboszcza jako „wroga ustroju i wroga ludu". Najaktywniejsi parafianie próbowali organizować akcję protestacyjną w obronie księdza. Zbierano podpisy. Obawiając się ujemnych skutków dla niektórych z nich, ks. Michalski zakazał zbierania podpisów. Po obszernej korespondencji, jaką prowadzono miedzy władzami kościelnymi i państwowymi, ks. Michalski przekazał cywilne prawa reprezentowania parafii na zewnątrz ks. wikaremu Apolinaremu Spajerowi, który stał się wyjątkowo uległy wobec administracji państwowej. Ale i ten ruch księdza nie zadowolił władz.

Zbliżała się uroczystość Bożego Ciała. Urząd Bezpieczeństwa zastraszył kupców , którzy mimo wcześniejszych obietnic nie zbudowali ołtarza. Dlatego w ostatniej chwili ks. Michalski zaproponował młodzieży, aby ta wystawiła „żywy ołtarz". Tak też się stało. Publiczne wystąpienie księdza Michalskiego przed tym ołtarzem spowodowało ponowny atak na księdza. Niemalże nazajutrz Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Zielonej Górze podjęło uchwałę, że ksiądz ma opuścić Zieloną Górę w ciągu 48 godzin. Ordynariusz wysłał stosowne odwołanie do Bieruta. Nie przyniosło ono jednak pozytywnych rezultatów. Michalskiemu groziło kolejne aresztowanie i co najmniej trzyletni pobyt w więzieniu. W tej sytuacji 3 października 1953 r., „w cichości", pożegnawszy się z grupą najbliższych ks. kanonik Kazimierz Michalski wyjechał do Poznania.

Wspomnienia i relacje

HARCERSKIEJ OPOWIEŚCI CIĄG DALSZY

Nawiązując do artykułu zamieszczonego w nr 1(5) kwartalnika „Pionierzy" z lutego 1998 r. (str. 16-17), pragnę uzupełnić tamte wspomnienia.

Należałem do I DH ZHP im. Leszka Białego w Janowcu Wielkopolskim od 1929 r. Mimo wojny podjęliśmy działalność konspiracyjną, w wyniku czego zostaliśmy aresztowani przez hitlerowców wraz w druhem Leonardem Dąbrowskim w dniu 26 czerwca i skazani 3 lipca 1941 roku w Inowrocławiu na 6 miesięcy za sabotaż. Będąc w więzieniu w Inowrocławiu fryzjerem, odbierałem od więźniów grypsy, przyczyniając się do uratowania życia dwójce skazanych na karę śmierci: przedwojennemu sędziemu sądu w Wągrowcu – p. Kuczyńskiemu oraz robotnikowi z Janowca Wielkopolskiego – p. Kozłowskiemu.

Zesłany na roboty do Niemiec pracowałem jako kierowca i pomocnik młynarski w Konradswalde. Byłem tam świadkiem aresztowania, ukrywającego się po zamachu na Hitlera, współorganizatora tego zamachu, nadburmistrza Lipska dr K. F. Goerdelera. Rozpoznała go sąsiadka z bloku mieszkalnego, w którym mieszkał w Lipsku nadburmistrz – Helena Schwarzel. Aresztowano go na moich oczach przed budynkiem właściciela młyna elektryczno-wodnego Alfreda Sockhansa.

W czasie ostrej wojennej zimy pracowałem w firmie Kurt Schatz artykuły i materiały opałowe, ul. Dworcowa (dawna Maciejewski i Ska w Janowcu). W czasie przerwy obiadowej biegłem do domu przy ul. Kościuszki 27, aby skonsumować obiad. Był cichy mroźny dzień, wiał drobny śnieg. Przy byłej drogerii Sujkowskiego (idąc od ratusza po lewej stronie przed sklepem pp. Szelmeszków) stał wartownik otulony w płaszcz, kołnierz futrzany i czapkę z nausznikami oraz plecionymi, słomianymi ocieplaczami na butach. Wartownik był uzbrojony w karabin i krótką broń. Kiedy przebiegałem obok niego, wartownik zawołał za mną, abym wrócił. Wróciłem i usłyszałem, że ów wartownik ma do mnie pretensje, że nie pozdrowiłem go! Odpowiedziałem, że go nie znam, więc wyjaśnił mi, iż nie jemu a mundurowi mam oddać honor. Odpowiedziałem, że następnym razem to uczynię. Zażądał, abym natychmiast powrócił i przechodząc ponownie przed nim oddał honor mundurowi zdejmując kapelusz. Po kilkunastu krokach zawołał do mnie: „Z powrotem" I tyle mnie widział. Ja natomiast od tego dnia po dzień dzisiejszy nie miałem jeszcze nakrycia na głowie.

Wiosną, w przepiękny dzień po godz. 15.00, spotkałem druha B. Tycnera (Tymucha) jako kominiarza w Zrazimiu. Ja wracałem z Żernik jako szklarz. Przed drogą do Wełny, na wysokości gospodarstwa Weina zauważyliśmy watahę Niemców w czarnych płaszczach SS powracających z Janowca, prawdopodobnie z zebrania. Byli pijani i prowadzili na szosie rowery. Bruno Tycner miał na głowie kominiarski cylinder, ja natomiast byłem bez nakrycia głowy. Kilkadziesiąt metrów przed Niemcami zeszliśmy również z rowerów (na wszelki wypadek). Mijając watahę grzecznie pozdrowiliśmy po niemiecku. Bruno ponadto zasalutował do cylindra. Reakcja Niemców była natychmiastowa, jeden z Niemców uderzył łapą w dno cylindra, który miał na głowie Bruno Tycner, a ja nie mogłem pojąć, co się stało. Jeden ryk na szosie, chyba 4 Niemców tarzało się w żwirze szosy. Tycner oblany jakąś masą. To były jaja, o których ja nie wiedziałem, a Bruno dostał od swych klientów.

W okolicy mleczarni i spalonego młyna na terenie willi przy cmentarzu ewangelickim stały dwie lokomobile parowe, które remontował stary Wein, specjalista od budowy i remontów wiatraków oraz lokomobili parowych. Lokomobili nie wyremontował. W skrzyniach obok lokomobili znajdowały się duże nakrętki o przekroju 5 cm od czoła dwóch lokomobili, które pewnej nocy zginęły. A może gdyby ktoś dobrze poszukał w studni na cmentarzu ewangelickim, może by coś znalazł pod nakryciami strudni?

Pewnego dnia, letnim rankiem w niedzielę, wpadła do nas policja i pytała mnie, gdzie byłem w nocy i co znaczą napisy na chodnikach, słupach, murach itp., składające się z liter RL-DL. Okazało się, że Leonard Dąbrowski malował w nocy z soboty na niedzielę szerokie schody w hotelu. Dopadli go tam i upili doszczętnie młodzi Niemcy, pracownicy Kaufhausu, szczególnie Rohde i Heinrich Wendland. Leonard Dąbrowski kończąc pracę zabrał ze sobą bryłę skamieniałej kredy. Idąc do mnie, tam gdzie padał, siadał czy się opierał, pisał RL-DL. Od nas przeszedł do lasku przy strzelnicy, gdzie policja, idąc po śladach, jakie pozostawił w postaci napisów RL-DL, znalazła go śpiącego. Gdy policja przyprowadziła go do nas, powtarzał w kółko ry-ly-dy-ly. Okazało się, że były to inicjały uwielbianej

Miejsce aresztowania głównego organizatora zamachu na Hitlera 20.07.19944 r. Miejsce (x) aresztowania dra K.Fr. Goerdelera nadburmistrza miasta Lipska.

przez niego dziewczyny – RL i jego własne – DL. Biedny Leonard musiał zabrać ze sobą wiaderko z wodą, szmatę i szczotkę i zmyć wszystko, co popisał od naszego domu do strzelnicy i w mieście.

Wszystkie te wymienione osoby już nie żyją. Nie żyją również: dh ks. prof. Jerzy Szelmeczka (78 lat), dha Maria Bartusch (82 lata), matka siedmiu bardzo zdolnych muzyków, dh Józef Burchardt (90 lat).

Z nimi to rozmawiałem jeszcze będąc w Janowcu na uroczystościach 80-lecia założenia I Drużyny Harcerskiej im. Leszka Białego w Janowcu Wlkp. w maju 1997 r.

Z mojego rocznika żyje jeszcze dh Zygmunt Tadyszak i Marian Hądzlik. Pozostali odeszli na „wieczną wartę".

Wiktor Tadeusz

Tata

Wspomnienie o Władysławie Korczu

W późny październikowy wieczór wracałyśmy z Mamą z Wielkiej Wystawy Ziem Odzyskanych z Wrocławia. Byłam zmęczona, marudziłam, źle wówczas znosiłam podróż pociągiem chorując na „morską chorobę", pod domem Mama zobaczyła światło w naszej kuchni na piętrze i czyjś cień na suficie, coś krzyknęła i ruszyła biegiem... ja za nią, w progu kuchni upuściła trzymaną torbę i gwałtownie rzuciła się z uściskami do jakiegoś obcego (dla mnie) faceta! A ja wyłożyłam się jak długa, potykając się na porzuconej torbie i... nikt mnie nie podniósł! A w kuchni byli jeszcze Babcia i Dziadek, dla których byłam przecież oczkiem w głowie! A potem ten obcy zaczął ściskać mnie, a jeszcze potem postawiono mi osobne łóżko, chociaż to, w którym dotąd spałam z Mamą, było wystarczająco, moim zdaniem, szerokie nawet dla tego obcego, Mamy i mnie. I tak ponownie, lecz po raz pierwszy świadomie zobaczyłam Tatę, był to rok 1948 .Tata wrócił z czteroletniej niewoli z Rosji.

Od trzech lat mieszkałyśmy z Mamą i rodzicami Mamy przy ul. Dąbrowskiego, gdzie ja mieszkam do dziś. A pamiętam niekończące się rozmowy, że przecież to tylko przejściowo, na tymczasem, a komórek to lepiej nie rozbierać, bo wrócą Niemcy... Jako rezolutne dziecko uczestniczyłam w życiu dorosłych, wypytywałam często o nieobecnego Tatę, często oglądałam zdjęcia, najbardziej podobało mi się to z 1934 roku, gdzie w towarzystwie dwóch kolegów pozuje gotowy do pieszej wędrówki z Sambora do Czarnohory (Tata stoi w środku), przemawiało też do mojej wyobraźni wcześniejsze z 1930 roku z własnoręcznie zrobioną łodzią wiosłową, którą wraz z kolegami spłynęli Sanem i Wisłą do Zatoki Gdańskiej. Mniej podobał mi się na zdjęciu z bratem Józefem grający partię szachów, a nie lubiłam zdjęcia trzech „starszych panów „na wczesnowiosennej ulicy warszawskiej w 1937 roku, czyli młodych braci: Józefa, Jana i Dziunka. Siostry Taty znałam, bo bywały u nas: najstarsza Karolina – najmilsza Ciocia i Maria, która zmarła już w 1948 roku. Bardzo lubiłam natomiast fotografie z Mamą; i tę z sierpnia 1938 roku z Warszawy, i tę z kwietnia 1939 roku z inowrocławskiego parku. Po wielu, wielu latach Tata już po śmierci Mamy pojechał do Inowrocławia i – jak pisał – z bardzo ciężkim sercem chodził po ich dawnych, wspólnych ścieżkach...

W 1943 roku Tata został Tatą; w styczniowy dzień 1944 roku zostało zrobione nasze pierwsze wspólne zdjęcie, w maju kolejne; Tata roześmiany, ja nad wiek poważna (a mam tu 11 miesięcy), w jesieni do Sambora przyszli z „wyzwoleniem" Rosjanie („po raz drugi", jak mówiło się u nas w domu) i Tata przepadł dla nas na długie cztery lata.

Już w Zielonej Górze w 1947 roku zostało zrobione kolejne moje zdjęcie z Mamą. Tę fotografię Mama wysłała do Rosji, pisała bowiem nieustannie do radzieckich władz, próbując uwolnić Tatę i fotografia została Tacie pokazana przez enkawudzistę z komentarzem: „eta dama to twaja żena? No, no a u doczki czasy... wot polskije pany!" Prawie po roku otrzymał ją

Po powrocie z wycieczki piechotą Sambor–Czarnohora. Sambor, 29 VII 1934 r. Na zdjęciu – Ludwik Fichtel, Władysław Korcz, Zygmunt Baczyński.

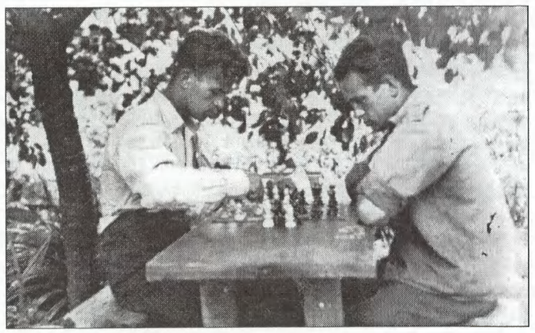

Partia szachów z bratem Józefem w Samborze, 1936 lub 1938 rok.

do rąk, gdy w Brześciu przekazywano go polskim władzom. Do Brześcia też pojechała wiosną 1947 roku moja dzielna Mama wierząc, że przecież wróci i na ścianie baraku, przez który przechodzili zwalniani łagrowcy, wypisała nasz nowy zielonogórski adres. I ten adres Tata znalazł! I wrócił, a wraz z nim to zdjęcie.

W 1951 roku Tata ponownie został Tatą. Kolejne fotografie są już z 1954 roku, na jednej siedzimy na schodach pałacu w Iłowej Żagańskiej, a na drugiej wracamy z zabawy w ogródku jordanowskim ul. Topolową w Zielonej Górze.

Helena Pobierówna i Władysław Korcz. Warszawa, 29 VIII 1938 r.

Oboje Rodzice pracowali, Tata więc robił codzienne zakupy; na kolejnej fotografii z 1958 roku odpoczywa wraz z Władziem po trudach aprowizacyjnych z siatami i nieodłączną ciężką, wypchaną książkami teczką. Pamiętam dowcip, jaki z inspiracji Jasia Muszyńskiego zrobili koledzy, włożyli Tacie dwie cegły do tej teczki, nie zauważył zmiany ciężaru przez kilka dni. Śmialiśmy się z tego przez długie lata!

Iłowa Żagańska, 18 VII 1954 r.

Zielona Góra, 22 VII 1954 r.

Nasze wakacje przez wiele lat związane były z kajakiem. Tata zamówił nawet specjalny kajak „na miarę", ponieważ pływali zwykle w czwórkę: Mama, Tata, Władziu i Morus – kundel, jak mawiał o nim Tata, rasy „terier na dzikiej świni", który zupełnie nie mógł pojąć, że warstewka zielonej rzęsy na powierzchni wody nie jest lądem i systematycznie zeskakiwał nań z kajaka, po czym trzeba go było wciągać na pokład i energicznie wytrzepywał się z wilgoci, a lato było zimne i jesienne tamtego roku. Do dziś słyszę Tatę, jak pomstuje na tego durnego kundla. W pamięci mam też Tatę – Rodzica nastolatków. Charakterystyczną jest tu rodzinna autentyczna historyjka: brat miał w szkole kłopoty z matematyką, które rozwiązywał ściągając od kolegów zadania na parapecie okna szkolnej ubikacji. Zauważył to dyrektor szkoły Zbyszek Czarnuch i poprosił Tatę o poważną rozmowę z synem. Któregoś wieczoru Tata najpoważniej w świecie zapytał Władzia, czy w przyszłości nie mógłby tych zadań przepisywać na parapecie okiennym domowej ubikacji. Praktyczne dziecko odpowiedziało spokojnie, że parapet jest za wąski i ubikacja nieogrzewana!

W 1961 roku zostałam studentką UAM w Poznaniu, na kolejnej fotografii kroczymy ulicą Czerwonej Armii w Poznaniu, teczka, a jakże, na miejscu, tylko jakaś płaska, a i moja torebka niemała, co zresztą pozostało mi do dziś.

Wakacje nadal spędzaliśmy pod namiotem, na kolejnym zdjęciu z 1963 roku doliczyłam się ośmiu pakunków, nie licząc Morusa, a samochodu nie mieliśmy, za to Tata jest uzbrojony.

Lubniewice, lipiec 1963 r.

W 1966 roku Tata został po raz pierwszy Dziadkiem, a w 1970 po raz wtóry. Po latach przyznał, że niewiele pamięta z wczesnych lat swoich wnucząt. Był wówczas pochłonięty pracą naukową, zresztą do końca swego życia lepiej pamiętał związki rodzinne książąt śląskich niż układy własnej rodziny, zawsze myliły mu się nasze ciotki, kuzynki... Naprawdę Dziadkiem poczuł się dopiero w 1993 roku, gdy urodziła się Kinga córka Władzia, a Tata miał już 80 lat. Kinga była też jego ostatnią wielką miłością. Może dlatego, że jest podobna do naszej Mamy, a swojej Babci Heleny.

Na ostatnim zdjęciu, które lubię, Rodzice są na ostatnich wspólnych wczasach, jest to rok 1985. Trzy lata później Mama zmarła, a Tatę pożegnaliśmy w dziewięć lat później.

A było to już ponad rok temu...

Jadwiga Korcz-Dziadosz

Zielona Góra, 22 września 1998 roku

„KIEDY MYŚLĘ OJCIEC"

Ojciec należał do tzw. pracoholików. Oczywiście z wiekiem, a także wskutek różnych losowych przeżyć, stawał się coraz mniej sprawny fizycznie. Odmawiały mu posłuszeństwa nogi, serce, ale nie umysł. Pamiętam Go pochylonego bez końca nad biurkiem i piszącego. Wtedy nie interesowało mnie, co tworzy i nad czym pracuje. Nigdy o tym nie mówił, po prostu zamykał drzwi, a w domu musiała być cisza. Teraz wiem, że kiedy stał się dwukrotnym emerytem – po raz pierwszy Zakładów Mięsnych, a po kilku latach także musiał zrezygnować ze swojego ulubionego zajęcia – pracy w Orkiestrze Symfonicznej.

No więc kiedy w wieku 75 lat (!) odszedł na „zasłużoną emeryturę", cały wolny czas poświęcał na pisanie i komponowanie. Kontynuował rozpoczęte wcześniej prace nad encyklopedią muzyczną, przygotował do druku tekst o melodiach kancjonałów z XVI wieku, pisał pamiętniki i wspomnienia. Ciekawiło mnie ślęczenie nad grubą, oprawioną w czerwoną skórę księgą. Czasem ukradkiem zaglądałam do niej. Podziwiałam równiutkie, wykaligrafowane pismo, zawsze piórem, ze zwykłą stalówką maczaną w kałamarzu.

> Historia – testis temporum, lux veritatis, vita memoriae, magistra vitae, nuntia vetustatis.
>
> *M.T.Cicero*

To motto Kroniki Orkiestry Symfonicznej, której pierwszy rozdział zatytułowany „Szare i mozolne początki" rozpoczyna, liczącą 122 strony rękopisu, pracę o pierwszych latach działalności dzisiejszej Filharmonii. Zapisana w księdze historia rozpoczyna się datą 21 stycznia 1956 roku. Widocznie jednak nie starczyło już Ojcu sił, a może motywacji, i Kronika kończy się na środzie 3 kwietnia 1959 roku.

Jak już wspomniałam, kaligraficznym, niemal jak spod drukarki pismem, zanotował Roman Mazurkiewicz, obok bardzo konkretnych, wręcz technicznych, informacji o Orkiestrze, także wydarzenia niemal groteskowe. Oto na stronie 56., pod datą środa 5 grudnia 1956 czytamy:

„[...]Masz babo placek! Przeszkody, przeszkody...! Projektowany nasz koncert w Szprotawie i Nowej Soli nie mógł się odbyć z powodu – braku benzyny dla naszego autobusu. Mało to jeszcze, z oburzeniem podnosi do nas pretensje nasza śpiewaczka, ponieważ na dzień 4 grudnia pożyczyła sobie kiecki do występu, zamówiła manicurzystkę, fryzjera – i kąpiele, odmówiła jakiś egzamin w Poznaniu i sprzedała swój bon na stołówkę na ten dzień. A teraz masz! Koncert odwołany! Szkoda tych krwawych paznokci na szary dzień, no i kąpieli też! Pierony z tymy babamy![...]"

Na stronie 55. zaś czytamy tekst, który częściowo wyjaśnia zajścia, jakie rozegrały się w tamtych latach pod ówczesnym Katolickim Domem Społecznym: „[...]Co do niedawna jeszcze wydawało się być rzeczą wręcz nieosiągalną, stało się obecnie faktem dokonanym: uzyskaliśmy na stałe salę do ćwiczeń i koncertów w Katolickim Domu Społecznym! Już wczoraj odbyliśmy tam pierwszą lekcję. Stosownie do polecenia Zarządu, zasadnicze pertraktacje z księdzem kanonikiem Janiakiem przeprowadził prezes. Prawda, że zadanie było niełatwe, podkreślić jednak należy z uznaniem rzeczowe i pozytywne stanowisko proboszcza do spraw sztuki muzycznej. Możliwe jest również nawet uzyskanie ponadto lokalu na biuro, składnicę instrumentów, nut, itd. W tej chwili jednak – tak twierdzi ksiądz – przekracza to Jego kompetencje. Istnieją przy sali dwa pokoje, zajmowane obecnie przez Caritas. Są wprawdzie

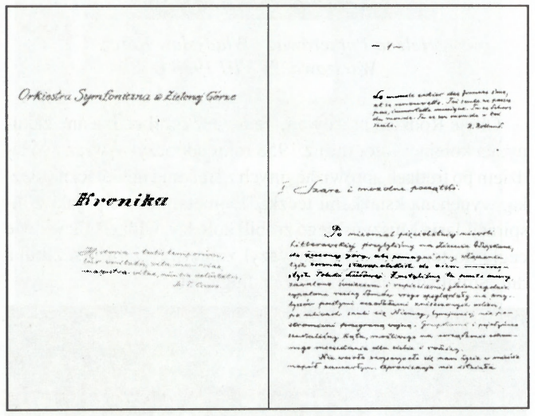
Orkiestra Symfoniczna w Zielonej Górze

Kronika

zajęte, lecz podobno nie używane. Naszą jest więc rzeczą, abyśmy choć te dwa na razie pokoje wywalczyli sobie od Caritasu. Postawiliśmy pierwszy zaledwie krok na terenie dotąd nie zdobytym i to jest najważniejsze. Reszta to rzecz późniejsza i zupełnie możliwa[...]"

Te optymistyczne prognozy lokalowe nie były zbyt pewne. Temat ten wraca w dalszej części Kroniki jeszcze kilkakrotnie. „[...]Otóż coraz uporczywiej krążą pogłoski o bliskim powrocie poprzedniego proboszcza do Zielonej Góry, a tu nie posiadamy jeszcze podpisanej umowy na dzierżawę naszego lokalu w Domu Społecznym. Odbyliśmy tam dwie próby i zaczynamy się urządzać. A przecież nie ulega najmniejszej wątpliwości, że dawny proboszcz (ks. Michalski – przyp. autora) nie zgodzi się na zajęcie sali przez Orkiestrę i wyleje nas stamtąd na zbity łeb, jeżeli nie zdążymy uprawomocnić naszej dzierżawy z księdzem Janiakiem [...]"

Zaś na stronie 58. sprawa lokalu jakby się kończyła: „[...] Sfinalizowaliśmy nareszcie naszą umowę z Parafią, ale jeszcze nie wiadomo, jak się ustosunkuje do nas nowy – a właściwie stary – proboszcz, który po trzyletnim wygnaniu powrócił na swe pierwotne miejsce. Krążą pogłoski, że podobno zamierza unieważnić umowę, zmontowaną z takim trudem[...]"

Zielonogórscy muzycy koncertowali nie tylko dla mieszkańców miasta. Oto opis pewnego koncertu wyjazdowego: „[...]Świętoszów – to mała osada czy miasteczko, wtulone w głuche lasy. Odległe od gwaru świata, ciche i nieco posępne na siwym tle lasów, ale posiada pięknie zabudowane ulice ze schludnymi i pielęgnowanymi domkami. Osada ta jest całkowicie zamieszkana przez oddział wojsk radzieckich wraz z rodzinami... Rozbrojeni byliśmy prawdziwie słowiańskim, miłym i ciepłym przyjęciem. Przy wjeździe na tereny wojskowe przy szerokiej bramie powitała nas delegacja wojsk radzieckich, aby siadając do naszego autobusu przepilotować nas przez liczne zakręty drogi aż do kasyna, odległego od wjazdu o około dwa kilometry. Na miejscu znów powitanie, sprawnie zorganizowana pomoc w przenoszeniu ciężkich instrumentów, widać było, że oczekiwano nas... Sala bardzo obszerna przepełniona była publicznością. Oklaski przyjęły nas rzęsiste i mimo nieco przegrzanej atmosfery grało nam się dobrze, a każdy utwór przyjmowany był niemal entuzjastycznie... W programowej przerwie poproszono nas do innej, mniejszej salki, gdzie długie stoły, zastawione dla nas, przeładowane wręcz były najróżniejszymi łakociami. Czego tam nie było! Zakąski i kanapki mięsne i niemięsne, ciasteczka i torciki, cukierki i czekoladki, różne specjały w konserwach i kompoty, a między tym wszystkim porozstawiane butelki z piwem i lemoniadą, podawano też gorącą herbatę i kawę. Gdy tą prawdziwą i miłą niespodzianką zaskoczeni staliśmy oniemieli, Rosjanie z przysłowiową swą gościnnością zapraszali nas uprzejmie do jedzenia i picia. Jak z początku staliśmy niezdecydowani, tak nagle stała się rzecz dziwna i niesłychana: jakby pod wpływem jakiejś nieznanej podniety, nagle rzucili się wszyscy jak niesforne dzieciaki na te stoły i zamiast ze spokojem i umiarem przekąsić i napić się czego kto chciał, zaczęto wprost rozdrapywać to, co było na stołach, wtłaczano do kieszeni, co się dało, jeden drugiemu wydzierał z rąk czekoladki i ciastka, ktoś objuczony butelkami biegał i krzyczał „bierz, żrej, bo to twoje!" W jednej chwili czysto zasłane i suto zastawione stoły zmieniły się w bezładne rumowisko czy śmietnik rozduszonych czekoladek, połamanych i pokruszonych ciastek i pieczywa, porozlewanych napitków, powywracanych szklanek i butelek, różnokolorowe plamy na obrusach świadczyły bodaj o jakiejś orgii kanibalskiej, która tu się rozegrała. Na palcach policzyć można było tych nader nielicznych orkiestrantów, którzy nie brali udziału w tych niesłychanych, a jakże przykrych wybrykach... Sądzić przecie trzeba, że wojsko już nigdy nie poprosi Orkiestry Symfonicznej na koncert w Świętoszowie [...]"

Zastanawiałam się, czy ten „gastronomiczny" incydent opisany przez Ojca zasługuje na spopularyzowanie. Ale Orkiestrę Symfoniczną pozbawił widocznie hamulców luksus wojsk radzieckich. Takie to były czasy.

Ostatnie zapiski kronikarskie dotyczą podsumowania pierwszego pięciolecia działalności Orkiestry. Jeszcze niejedno ciekawe wydarzenie można znaleźć w równiutkich wierszach Kroniki.

Zdzisława Krasko

Był taki czas

1. Moja droga do obozu pracy, czyli jak dostałam się do obozu pracy, a nie do obozu koncentracyjnego

W 1942 roku w związku ze zwiększającą się linią frontu niemieckiego wzrasta zapotrzebowanie na robotników mających zastąpić zmobilizowanych żołnierzy. Szczególnie potrzebni są pracownicy rolni i do przemysłu zbrojeniowego. Akcja werbunkowa do pracy do Niemiec daje znikome rezultaty, pojawiają się więc masowe łapanki, tudzież restrykcyjne wezwania. Najczęściej do obozu trafiano z owych łapanek. Nieopodal większych skupisk ludzi, jak przed kościołem, kinem stawała w ukryciu ciężarówka zwana budą. Do niej Niemcy, przy współudziale będącej na jej usługach policji, przemocą, brutalnie, bijąc karabinem, wrzeszcząc, krzykiem wpychali ludzi. Tak często działo się w Warszawie, gdzie mieszkałam.

Osoby, które otrzymywały wezwania do stawienia się na punkt pracy przymusowej, często ignorowały wezwania lub starały się za wszelką cenę uniknąć wywózki. W tym celu zmieniały miejsce pobytu, wymeldowywały się z trzydniowym wyprzedzeniem, niektórzy młodzi mężczyźni uciekali do lasu. Znaleźli się też niestety wśród Polaków usłużni „łapacze". Fragment piosenki:

> „Siekiera, motyka, piłka, szklanka
> w nocy nalot, w dzień łapanka"
> odzwierciedla istniejący wówczas stan rzeczy.

Dochodziły też już wieści o obozach zagłady, o krematoriach, o licznych aresztowaniach i masowych mordach. Piosenki uliczne, aforyzmy, rzekome przepowiednie o klęsce okupanta przeciwdziałały przygnębieniu i depresji.

Mimo codziennych represji i nieszczęść nie omijających prawie żadnej rodziny, wśród młodzieży rozwijał się zaszczepiony przez szkołę duch patriotyczny i bojowy. Do zawołań należały np. takie powiedzenia: „Twarde życie, twardy człowiek, a więc nie rozczulać się nad sobą, nie poddawać", „Jak chcieć, to móc", „Mierz siły na zamiary, a nie zamiar na siły".

Były to przeważnie hasła młodzieży uczęszczającej na tajne komplety nauczania. I ja na nie pilnie uczęszczałam, choć bywało chłodno i głodno, ale była to wspaniała przygoda intelektualna pozwalająca w czasach upodlenia zachować godność osobistą.

Podziwialiśmy naszych Profesorów za ich ofiarność, narażanie życia i wysoki poziom wykładów. Z pamięci cytowali oni fragmenty prozy, więc my również uczyliśmy się jej na pamięć i mieliśmy ambicję zaliczać egzaminy bynajmniej nie na ulgowych tary fach.

Nauczanie tajne, udział w nim, wg jurysdykcji niemieckiej okresu okupacyjnego, kwalifikowało do obozu koncentracyjnego. Przygotowywano więc nas, jak należy się

zachować, w mieszkaniu, gdy była grupa, to była wersja imienin, urodzin, gry w karty, na ulicy zachowanie debilne – głuptactwo.

Byłam już na poziomie liceum pedagogicznego. Praktykę pedagogiczną można było odbyć w mieście bądź na wsi kompletując grupę dzieci na poziomie klas I-IV. Zaaranżowałam ją na wsi u swojej dalekiej krewnej. Praca na roli, pomoc przy wykopkach ziemniaków stanowić miała dobry kamuflaż. Dodajmy, że przydziały żywnościowe w mieście były tak skąpe, że nawet praca za lepsze, obfitsze jedzenie była atrakcją. Trochę pracowałam w polu, ale więcej i coraz więcej z dziećmi. Ich nauczanie i czynione przez nich postępy bardzo mnie cieszyły i przekonywały o słuszności wyboru zawodu nauczyciela. Polubiłam też dzieci chętnie garnące się do nauki. Moja praktyka miała trwać jeszcze kilka dni, gdy dotarła wieść, że już mnie podejrzewają o tajne nauczanie i muszę bezzwłocznie wyjechać. We wsi był posterunek policji i tam też zjawił się sonderdienst – oficer do poruczeń specjalnych. Sonderdiensty miały opinię szczególnie okrutnych i bezwzględnych, tymczasem...

Nazajutrz, a było to w pierwszych dniach miesiąca października 1942 r., gdy z niewielkim pakunkiem rzeczy osobistych, kawałkiem słoniny i wędzonki szłam w kierunku stacji, zostałam z krzykiem schwytana i zatrzymana przez policjanta, który był w towarzystwie owego oficera niemieckiego i usłużnie mu donosił, że to ja właśnie jestem tą osobą, która zajmowała się na wsi tajnym nauczaniem. Ja tylko wzruszałam ramionami, udawałam, że nie rozumiem języka niemieckiego – powiedziałam tylko, że w mieście, w Warszawie jest mało jedzenia, przyjechałam więc tu pomóc przy wykopkach ziemniaków i pokazałam kawałek słoniny, którym zostałam obdarowana. Moja osoba jakby nie interesowała niemieckiego funkcjonariusza, był gotów mnie puścić, ale o ironio losu, ten Polak – granatowy policjant – chciał okazać swoją gorliwość. Kazał mi pokazać ręce i dowodził, że są zbyt delikatne jak na robotnicę rolną. Mówiłam, że nie cały dzień pracowałam w polu, że odsyłali mnie do chaty, bym zajęła się obiadem, sprzątnięciem izby. Mówiłam spokojnie. Starałam się nie okazywać strachu, trochę durnie kiwając głową mówiłam: -mówię prawdę – i wzruszałam ramionami. Na inne groźby odpowiadałam durnie: – hi.

Noc przesiedziałam na posterunku w areszcie. Straciłam poczucie czasu, nie wiedziałam, co ze mną chcą uczynić, bałam się tortur i tego, że pod ich wpływem mogłabym wydać swych profesorów i uczniów. Pamiętam, że pomyślałam wówczas, o bezbolesnej śmierci samobójczej po przecięciu żył (wpływ literatury), jak też o tym, że samobójstwo jest grzechem śmiertelnym. Zdrzemnęłam się dopiero nad ranem i wówczas otwierają się drzwi, przynoszą mi w butelce kawę z mlekiem i bułkę z masłem. Czyżby trucizna? Z trudem skonsumowałam. Wzywają mnie do wyjścia – stoi furmanka z dwukonnym zaprzęgiem, jest woźnica, policjant i ów niemiecki oficer. Każą mi siadać na furmankę, oficer niemiecki chwali się, że to on przysłał mi to jedzenie, dzieląc się swoim śniadaniem. Choć rozumiem, proszę policjanta o przetłumaczenie – mówię dziękuję. Sytuacja dziwna, nietypowa. Starałam się nie wychodzić z roli durnej debilki. Oficer niemiecki mówi z podziwem: – Das Mädchen ist Blut und Milch (To dziewczę jest jak krew z mlekiem). To była pochwała mej urody, ładnej cery. Zastanawiam się, co podpowie mu jego natura, czy zrodzi sadystyczną myśl, niechaj ginie w piecu krematoryjnym, czy też szkoda dziewczęcia.

Zatrzymywali się na terenie większych gospodarstw, gdzie byli goszczeni, zorientowałam się, że chodzi im o dostawę kontyngentów płodów rolnych. Żywność dla celów wojennych była również ważna, jak amunicja. Z owych wizyt wracali nakarmieni, upojeni. Pamiętam, jak na podwórzu jednego z gospodarstw wyniosła moja uczennica po kubku mleka dla mnie i woźnicy oraz po pajdzie chleba. Porozumiewawcze spojrzenia i gest milczenia, zdaje się, że rozumie, że się nie wygada. Mówię: – Poczekaj, wypijemy, to zaraz ci oddamy. Chcę, jak najdłużej ją zatrzymać, boję się, że policjant zacznie ją indagować, by dowieść swojej racji. Wreszcie ruszamy dalej. Zjedzony świeży razowiec i chyba nerwy powodują rozstrój żołądka, proszę, by zatrzymali się, mówiąc językiem wiejskim, że muszę na stronę. Woźnica mówi: – To idź za wozem.– Kiej się wstydzę. – To nie chodź gdzie dalej, ale bliżej. Kilkakrotnie zmuszona byłam prosić o zatrzymanie się i wówczas zrodziła się u mnie myśl ucieczki do lasu, a potem na dworzec, choć nie mogłabym wrócić do domu, bo zatrzymali moją kenkartę (niemiecki dowód osobisty) i tam byłabym już oczekiwana... Sonderdinst jakoby odgadł moje plany. Na butelce po alkoholu, ściślej pod jej szyjką, obwodzi znak pisakiem i wskazuje mi drzewo, gdzie mam ją zanieść. Wykonuję jego polecenie. Po chwili on wyciąga pistolet i strzela – potem gestem poleca mi przynieść tę butelkę i wskazuje, jak dokładnie strzelał. Znów tylko kiwam głową, wówczas każe mi iść pod ów dąb. Chyba ma młodzieńcza przekora i duma sprawiły, iż mówiłam sobie: – Nie będę błagać cię i żebrać o życie, jak zechcesz, to i tak mnie zastrzelisz. Modliłam się w duchu żegnając już rodziców i bliskich. Szłam krokiem miarowym, ociężałym. Już prawie byłam pod drzewem, gdy słyszę głos owego oficera niemieckiego skierowany do policjanta: – Co ty pleciesz, to ma być nauczycielka, to jest durne ciele, ona jest nawet pozbawiona instynktu samozachowawczego. Po takiej lekcji poglądowej powinna zrozumieć, co zamierzam z nią uczynić.

Po naradzie postanawiają, że przekażą mnie na punkt zborny do Siedlec. Przed punktem policjant proponuje, by uczynił to Niemiec, ale on mówi: – Zaprowadź ją ty, jak złapiemy drugą, to ja ją zaprowadzę. Policjant otrzymał pieniądze, zdaje się, że 100 zł, a to kojarzyło mi się ze srebrnikami Judasza.

cdn.

Stanisława Łapkowska

PIŃSK – STOLICA POLESIA MA 1000 LAT

część III

Po 300 latach Rusi Kijowskiej i 400 latach Królestwa Polskiego, nastąpiło 128 lat najgorszego okresu w historii Pińska.

W maju 1792 r. Pińsk został zagarnięty przez Rosję Moskiewską, potężne imperium carycy Katarzyny II, która na prośbę targowiczan wprowadziła swoje wojska do Polski, o ironio, pod hasłem przywrócenia Polsce wolności i ocalenia od Konstytucji 3 Maja. Konstytucji, której dzień uchwalenia stał się dniem święta narodowego Polski i, jak usłyszeliśmy 3 maja 1998 r. na uroczystości w Zielonej Górze, „przeszła ona do tradycji narodu jako dowód jego wielkości w dobie upadku".

Sejm Czteroletni wraz z uchwaleniem Konstytucji podjął uchwałę wystawienia w Warszawie świątyni Opatrzności Bożej, jako votum wszystkich stanów za uchwalenie Konstytucji 3 Maja. W pierwszym w Polsce konkursie architektonicznym zatwierdzono projekt Jakuba Kubickiego i położono kamień węgielny na Ujazdowie. Rozbiory Polski uniemożliwiły budowę, pośpiesznie wzniesiono tylko kaplicę. Po latach, w obrębie Ogrodu Botanicznego, pozostała tylko ruina tej kaplicy i właśnie przy tych ruinach w 1916 r. 125. rocznicę uchwalenia Konstytucji obchodzono po raz pierwszy jako święto narodowe (w warunkach względnej swobody, były jeszcze wojska niemieckie).

W II Rzeczpospolitej powstał nowy, imponujący projekt świątyni – Pniewskiego. Wybuch wojny w 1939 r. ponownie przeszkodził w realizacji projektu. Obecnie Senat uchwałą z dnia 19 czerwca 1998 r. zdecydował o budowie tej świątyni jako realizacji zobowiązań przodków. Planuje się, że w 1999 r. Ojciec Święty Jan Paweł II odprawi mszę św. na placu w Wilanowie, gdzie właśnie ma stanąć świątynia Opatrzności Bożej jako votum za Konstytucję 3 Maja, odzyskanie niepodległości w 1918 r. i obecnie w 1989 r. oraz za dar pontyfikatu Jana Pawła II. Nam, byłym Pińszczanom i Poleszukom, jest szczególnie miłe, że w tym czasie ma być ogłoszony patronem całej Polski, obecnie patron Warszawy, św. Andrzej Bobola, zakonnik z Pińska, męczennik Polesia.

Wkraczającym wojskom rosyjskim w 1792 r. przeciwstawiło się wojsko polskie pod dowództwem ks. Józefa Poniatowskiego, jednak siły najeźdźcy były ogromne, obrona nie powiodła się, nastąpił II rozbiór Polski, a Pińsk na 128 lat pozostał w Rosji.

Ks. Józef Poniatowski też ma swoje związki z Pińskiem, po Franciszku Poniatowskim, swym dalekim krewnym, odziedziczył ks. Józef majątek Albrechtów, położony na wschodnim przedmieściu Pińska. Podobno ks. Józef Poniatowski nigdy Albrechtowa nie oglądał, był to rok 1789 i był czym innym zajęty. Ostatnim właścicielem do 1939 r. był Bogdan Skirmuntt. Polacy nie mogli pogodzić się z zaborami, w 1794 r., w marcu rozpoczęło się powstanie. Naczelnikiem powstania zostaje Tadeusz Kościuszko (1746-1817) z Polesia.

Tadeusz Kościuszko urodził się w dworku Mereczowszczyzna (północne krańce Polesia), wybudowanym przez jego ojca Ludwika, miecznika brzeskiego, który Mereczowszczyznę trzymał w zastawie od dziedzica Jana Sapiehy, a była ona jednym z folwarków majątku Kossowo. Do 1939 r. dworek, kilkakrotnie przebudowywany, jeszcze istniał, a w sąsiadującym pałacu Pusłowskich mieściły się biura starostwa Kossowskiego. Obecnie po pałacu pozostały ruiny, dworek zniknął z powierzchni ziemi, stoi tylko jakiś pomniczek upamiętniający miejsce urodzenia słynnego Polaka – Poleszuka.

Dworek, Mereczowszczyzna, przed 1939 r. – miejsce narodzin Tadeusza Kościuszki.

Jednak rodowym majątkiem Kościuszków były Siechnowicze niedaleko Prużany, nadane Teodorowi Kościuszce jeszcze w 1458 r. przez Kazimierza Jagiellończyka. Ojciec Tadeusza odziedziczył je po dziadku i w końcu jedynym właścicielem Siechnowicz był Tadeusz Kościuszko, który pod swą nieobecność powierzał je siostrze Annie, z przykazaniem wcielania idei republikańskich. W 1817 r. przekazał testamentem Siechnowicze wnukom siostry, Romanowi i Ludwice Estkom, pod warunkiem całkowitego zniesienia pańszczyzny i nadania włościanom ziemi. Przez małżeństwo Siechowicze przeszły do rodziny Bułhaków, właścicieli do września 1939 r.

Zarówno jak w 1410 r. pod Grunwaldem, u boku księcia Witolda, brał udział w walce pułk z Pińska, tak przez 400 lat we wszystkich wojnach prowadzonych przez Polskę brali udział Pińszczanie. Za zasługi wojenne nadawano puste lub królewskie ziemie na Polesiu i różne godności, a ich potomkowie wychowani w patriotyzmie ponownie stawali do walki w obronie ojczyzny.

Tak też było w 1794 r. Z ziemi brzeskiej pochodził adiutant i przyjaciel T. Kościuszki – Julian Ursyn Niemcewicz. Brygada kawalerii pińskiej pod wodzą generała Józefa Kopcia przedarła się do T. Kościuszki i brała udział w bitwie pod Maciejowicami. Ochotniczy korpus brzeski prowadził Marian Paczkowski, a kobryńską jazdę – Kazimierz Ruszczyc.

Powstanie kościuszkowskie upadło, zaborcy skoordynowali swe siły i byli nie do pokonania. Tadeusz Kościuszko ranny dostał się do niewoli, był więziony w Petersburgu. Warszawa się poddała po rzezi Pragi przez Suworowa. Król abdykował, uwięziony w Grodnie. W 1795 r. nastąpił III rozbiór Polski, która po ponad 800 latach samodzielnego bytu, z pogwałceniem norm międzynarodowych, zniknęła z mapy Europy, przyjmującej to bez większego zainteresowania, przejętej wydarzeniami po rewolucji francuskiej. Pomimo dotkliwych represji, zsyłek na Sybir, pragnienie wolności i niepodległości w narodzie pozostało.

Świetny rozwój gospodarczy i kulturalny Pińska został przerwany. Odcięcie rynków zbytu w centralnej Polsce i Zachodzie Europy wywołało upadek gospodarczy. Systematycznie niszczono też dorobek kulturalny, rugowano katolicyzm i unitów na rzecz prawosławia, przeprowadzano systematyczną rusyfikację, tępiono wszystko, co polskie, a nawet białoruskie.

Nie nawracano na prawosławie drogą misyjną, lecz administracyjnie i brutalnie poprzez prześladowania. Na przykład wieś Ochowo w powiecie pińskim, gdzie kościół Franciszkanów z 1758 r. przemianowano w 1867 r. na cerkiew, a ludność przepisano na prawosławie. W Pińsku poza kościołem św. Stanisława i kolegium pojezuickim, przejmowano też inne kościoły.

Kościół i klasztor Dominikanów ufundowany w 1666 r. przez Marię Kopciową w 1840 r. przebudowano na katedrę prawosławną – potężny sobór Fiedorowski, w którym byłam kilkakrotnie, miał piękne wnętrze, dużo złoceń, carskie wrota, piękny zbiór ikon. Był główną cerkwią biskupa – archireja. W zabudowaniach poklasztornych usytuowano pomieszczenia archireja, Konsystona (Kurii) i urzędu parafialnego – prawosławnego. Cały kompleks znajdował się przy ulicy Dominikańskiej.

Kościół Bernardynów ufundowany przez Michała Wiśniowieckiego w 1717 r. przebudowano na początku XIX w. na cerkiew Warwaryńską (św. Barbary). Istnieje jako cerkiew do dziś przy ul. Kirowa (dawniej Bernardyńskiej). Jej bizantyjska bania kłóci się z barokowym stylem całej budowli.

W Pińsku w czasach wcześniejszych i sięgających jeszcze Rusi Kijowskiej istniał sobór Dymitrewskij i kilka innych cerkwi, były to budowle drewniane, które w czasie wojen i licznych pożarów uległy spaleniu. Kościół i klasztor oo. Jezuitów wybudowano w centrum Starego Miasta na miejscu dawnych cerkwi Spasskiej i Siemionowskiej.

Rząd rosyjski ze względów politycznych dbał o rozszerzenie prawosławia, ale przez te 128 lat nie wybudował w Pińsku ani jednej cerkwi, nie dbał o gospodarcze ani też kulturalne potrzeby Polesia. Miasto zaniedbano, domki budowano bez planu, ulic nie brukowano. Sytuację jeszcze pogorszyła wojna 1812 r. i przemarsze wojsk napoleońskich. Większość Polaków z Polesia nie poparła Napoleona, tak jak ich rodak Tadeusz Kościuszko, który mu nie ufał i nie mógł darować zagłady Legionów Polskich na Haiti. A Napoleon bardzo o to poparcie zabiegał. Również potem zwycięski car Aleksander I zabiegał o poparcie T. Kościuszki, który był wdzięczny carowi za powstanie Królestwa Polskiego, ale odmówił powrotu do kraju. Jego opinia była stała – Polacy mogą wybić się na niepodległość tylko w oparciu o własne siły, a nie obce. Niestety Pińska i Polesia nigdy nie włączono do Królestwa Polskiego, natomiast usilnie starano się zasymilować z imperium Rosji.

Naruszenie konstytucji i carski ucisk policyjny spowodowały w 1830 r. w Warszawie wybuch powstania listopadowego. Regularne wojska polskie dotarły tylko do Brześcia, dowódca powstańców podlaskich Kuszel otrzymał misję zorganizowania powstania na Polesiu. Misja nie powiodła się. Koło Mozyna krótko walczył z oddziałem Kiniewicz, a pod Pińskiem na czele ponad 1000 oddziału Tytus Pusłowski. Po kilku udanych potyczkach, pobici pod Nevelem, poszli w rozsypkę. T. Pusłowski z niemiecką grupą walczył jeszcze w oddziałach na Wołyniu, emigrował, zmarł we Francji.

W wojsku polskim w powstaniu listopadowym walczyli też Pińszczanie: adiutant Napoleon Orda, porucznik artylerii Karol Kaczanowski, ułan Franciszek Hryniewiecki, strzelec Gracjan Drucko-Lubecki, Adam Rodkiewicz z Pohostu i inni. Represje były dotkliwe, wywłaszczenia, więzienia i zesłania na Sybir.

Likwidacja odrębności Królestwa Polskiego, prześladowania i coraz silniejsza rusyfikacja, doprowadziły po 30 latach do wybuchu w 1863 r. powstania styczniowego. Nie było to już powstanie wojska polskiego, ale powstanie ogólnonarodowe. Było pierwszym w historii Polski ruchem partyzanckim opartym o szerokie masy społeczeństwa, głównie warstw niższych miast i wsi. Objęło swym zasięgiem Królestwo Polskie, Litwę, Białoruś i część Ukrainy. Znalazło też uznanie w Europie, wielu obcokrajowców przybywało na pomoc powstańcom.

Polesie na wybuch powstania styczniowego odpowiedziało tworzeniem się w lasach licznych oddziałów powstańczych, wspomaganych przez ludność polską, poleską, częściowo przez białoruską, a najmniej przez ukraińską. Dzieliły powstańców od tej ludności nie tylko różnice mowy i wiary, ale niestety nade wszystko błędy przodków naszych w polonizacji tych ziem.

Na terenie Polesia działali: Roman Rogiński – zdobywca Prużany, Jan Wańkowicz, Szczęsny Włodek, Gustaw Strawiński i inni dowódcy oddziałów powstańczych. Jednak zaszczytny udział Polesia w powstaniu styczniowym jest zasługą Romualda Traugutta, urodzonego w 1826 r. w Szostakowie koło Brześcia, gdzie w majątku ojciec R. Traugutta był rządcą.

1935 r., Szostakowo, dom, w którym urodził się Romuald Traugutt; przed domem pomnik to upamiętniający. Siedząca dziewczynka – Maria Gołębiowska.

Tu mała ciekawostka, właścicielami Szostakowa w 1826 r. byli prapradziadkowie naszej Marii Gołębiowskiej, przewodniczącej Sekcji Historycznej SPZG i wydawcy kwartalnika „Pionierzy". Ich wnuczka Zofia Stellecka z Sobolewskich była przed 1939 r. ostatnią właścicielką Szostakowa i babcią Marii Gołębiowskiej ze Stelleckich, która wychowała się w Szostakowie i pamięta, że wszystkie gminne uroczystości patriotyczne odbywały się przy kamieniu – pomniku, upamiętniającym miejsce urodzenia R. Traugutta. Obecnie pozostał tylko kamień z napisem, a po zabudowaniach nie ma śladu.

Zofia Stellecka – ostatnia właścicielka Szostakowa – z wnuczką.

Romuald Traugutt ppłk armii carskiej, uczestnik wojny krymskiej, po śmierci żony Anny (świadectwo jej zgonu było przed 1939 r. w Muzeum Poleskim w Pińsku) występuje z wojska, opuszcza Petersburg i przenosi się do otrzymanej po ojcu Ostrowi pod Kobryniem, ma też swój dom w Kobryniu. Żeni się z Antonią Kościuszkówną i jako ziemianin szerzy hasła uwłaszczenia włościan.

Po wybuchu powstania styczniowego nawiązuje kontakt z Rogińskim, po czym stawia się na wezwanie poleskiego komitetu szlacheckiego na historyczne spotkanie w Popinie w dworku Stefanii i Jana Żuków. Zgromadziło się tam prawie trzydziestu mężczyzn, członków organizacji powstańczej z kilku powiatów poleskich i obok gospodyni dwudziestoletnia Eliza Orzeszkowa, późniejsza pisarka („Nad Niemnem", „Gloria victis" i inne dzieła). Gdy R. Trauguttowi zebrani zaproponowali dowództwo poleskiego oddziału powstańczego, odpowiedział: „Z dalekich stron powróciłem tu z myślą, że usługi moje mogą być teraz potrzebne Ojczyźnie, ofiarowane mi zadanie przyjmuję". Potem już jako dowódca powiedział: „Jeżeli wygramy, wygrana nasza będzie zbawieniem dla narodu, jeśli przegramy, rzeką krwi przez nas przelanej, inni dopłyną do wolności. Ale jakikolwiek będzie nasz koniec, powinność naszą czyńmy".

Początkowo oddział R. Traugutta liczył tylko 200 powstańców i tylko połowa miała broń palną. Szybko oddział się rozrastał, zdobywano broń i doświadczenie w walce. Chłopi białoruscy tworzyli oddział kosynierów, powstał też legion kobiecy pod dowództwem Stefanii Żukowej. Przez 2 miesiące nękali Moskali staczając 7 większych potyczek. Słynniejsze to: w maju pod Horkami, potem koło Pińska, w czerwcu pod Woroniem, a w lipcu pod Kołodnem.

Wśród powstańców Traugutta było wielu o typowo poleskich nazwiskach, jak: Szołomicki, Zbaraszewski, Płotnicki, Krasowski, Karpowicz, Kałłaur i inni.

W mojej rodzinnej okolicy długo opowiadano, jak to wieś Osowa, nasza parafia (byłam tam ochrzczona), na Wielkanoc święcone urządziła powstańcom w lesie, a ksiądz proboszcz i Żyd karczmarz byli łącznikami. Powstańcem Traugutta był mój pradziadek Protasowicki, który wkrótce zmarł, jego ziemię skonfiskowano, a wdowa Michalina Protasowicka z trojgiem dzieci: Jankiem, Olesiem i Dominiką (moją babcią) zamieszkała w Kałłaurowiczach na resztówce, którą otrzymała w posagu.

Gdy Moskale w drugiej połowie lipca podciągnęli znaczne siły z Turowa i Łucka, R. Traugutt uznał, że brak jest możliwości dalszej walki. Oddział rozpuścił, a sam przez Pińsk przedostał się do Ludwinowa, majątku Piotra Orzeszki, skąd jego żona Eliza Orzeszkowa ze studentem medycyny Kosteckim i woźnicą Romanem, swoją karetą przewiozła R. Traugutta za Bug do Królestwa, podając, że wiezie chorego brata.

Później R. Traugutt został naczelnikiem całego powstania styczniowego i był jednym z najwybitniejszych przywódców, jego posunięcia były znakomite, ale powstanie już nie miało szans. Aresztowany, został 5 sierpnia 1864 r. powieszony wraz z czterema współpracownikami: R. Krajewskim, J. Toczyskim, R. Żulińskim i J. Jeziorańskim w X Pawilonie Cytadeli Warszawskiej.

Eliza Orzeszkowa w drodze powrotnej w Brześciu dowiedziała się, że jej mąż Piotr z bratem Florentym Orzeszko zostali zesłani na Sybir, a majątek Ludwinów skonfiskowano (potem nabył go za pół darmo rosyjski kupiec Kantorow). Piotra Orzeszkę zesłano do Permu, skąd po amnestii wrócił, zmarł w Warszawie. Florenty Orzeszko, chirurg, był lekarzem oddziałów powstańczych, zesłany do Tomska, po latach katorgii był lekarzem więziennym, a potem dobrowolnie pozostał w Tomsku jako prywatny lekarz. Elizie Orzeszkowej udało się uniknąć aresztowania. Zamieszkała w rodzinnym majątku w Milkowszczyźnie, który sprzedała i na stałe przeniosła się do Grodna. Antonina Trauguttowa z Kościuszków znalazła z dziećmi schronienie w rodzinie Mickiewiczów, potem wyszła za mąż za Mickiewicza i w swojej osobie połączyła trzy historyczne nazwiska.

Skutki upadku powstania były straszliwe. Wyroki śmierci wykonano na 670 osobach, 38 tys. osób zesłano na Sybir, 10 tys. osób emigrowało, skonfiskowano 2,5 tys. majątków, karano kontrybucją pieniężną. Restrykcje, nasilenie rusyfikacji i rządy wojskowe, przy tym uwłaszczenie chłopów spowodowały, że po upadku powstania większość społeczeństwa przeszła na drogę pracy, tzw. organicznej w dziedzinie gospodarczej i oświaty.

II Rzeczpospolita uczciła bohaterską walkę powstańców styczniowych. Maszerujący oddział wojska przed spotkanym powstańcem prezentował broń, ale było już ich niewielu. Zadbano o groby powstańców, wystawiono wiele pomników.

Na Polesiu również upamiętniano miejsca walk powstańczych i powstańców. Wystawiono m.in. we wsi Szołomicze koło Pińska pomnik dla synów tej wioski.

Pomnik Powstańców Polskich z 1863 r. we wsi Szołomicze koło Pińska.

– Antoniego Szołomickiego, ranny dostał się do niewoli, potem na Sybir,

– Bazylego Kałłaura, w przebraniu kobiecym przez Pińsk „pocztą obywatelską" przedostał się za R. Trauguttem do Królestwa i tam dalej walczył,

– Szymona Kałłaura, zginął w walce pod Kołodnem. Wieś Szołomicze za wspomaganie powstania została ukarana kontrybucją po 25 rubli od chaty, a sąsiednie Łozicze po 10 rubli.

cdn

Jadwiga Kolibabka

MOJE WOJENNE LOSY

Każda czynność w gospodarstwie domowym przypomina mi krzątającą się matkę przygotowującą posiłki, dbającą o ład w domu. Beztroska dzieciarnia brodziła po rzece z czystą wodą, w której dno było pokryte różnorodnymi kamykami. Czasem po burzy wezbrana rzeka niosła dobytek ludzki. Gdy to minęło, znowu zaczynały się zabawy w wodzie, na łące. Wspomniana rzeka otoczona była rozłożystymi, pachnącymi olchami. Były też wierzby płaczące. W pobliżu złociła się łąka od kaczeńców. To wszystko wprowadzało nas w miły nastrój. Nie sposób pominąć lasów i pól. Do dziś mam w pamięci pola ciągnące się wąskimi pasami w różnych barwach: czerwień od maków, biel od gryki, błękit od chabrów, fiolet od kąkoli. Pola te były oddzielone od siebie miedzą – to moje rodzinne strony.

We wrześniu 1939 roku wybuchła wojna – wkroczyło do nas niemieckie wojsko. Miałam 7 lat – poszłam do szkoły. Było to wielkie przeżycie. Nareszcie mogłam nie tylko marzyć, zazdrościć starszej siostrze, ale już sama byłam uczennicą. Nie wyobrażałam sobie uczennicy bez warkoczy. Moje włosy starczyły tylko na tzw. „mysie ogonki", mimo licznych docinków nosiłam je z dumą. Pamiętam, szkoła była piękna. Klasy z dużymi oknami, tablicą, ławkami. Było też boisko, ogród z kwiatami. Jednak krótko cieszyliśmy się prawdziwą szkołą. Niemcy zajęli ją na noclegi dla wojska, a kościół dla koni. Nauczyciele uczyli nas w prywatnych mieszkaniach. Pomimo to byliśmy zdyscyplinowani. Uczyliśmy się chętnie i wytrwale z elementarza i czasopisma „Ster".

W czasie zabawy z dziećmi zostałam szturchnięta w oko. Dostałam zakażenia, przestałam widzieć na oczy. Skończyło się ze szkołą. Dostałam się do szpitala. Lekarz nie dawał żadnej nadziei, że odzyskam wzrok. Zakażenie ujawniło się również na głowie, pojawiły się strupy i moje „mysie ogonki" z lokami zostały ścięte do skóry. Byłam pozbawiona wzroku, włosów. W takim stanie stroskana matka zabrała mnie ze szpitala do domu. Dla mnie była tylko ciemność. Dolatujący śpiew ptaków, gwar dzieci – to cała moja radość. Mogłam sobie tylko wyobrazić srebrzystą rzekę, piękne olchy, wierzby płaczące, kwieciste łąki i barwne pola.

Tatusia Niemcy zabrali na przymusowe roboty do Niemiec wraz z innymi mężczyznami. Trafił w góry Alpy. Gdy przejeżdżali przez Kraków, dostali od zakonników relikwie św. Teresy od Dzieciątka Jezus. Tatuś przysłał te relikwie wraz z broszurką. Była to nowenna – należało ją odmawiać przez 9 dni, przez dziewięć osób, które przystępowały każdego dnia do komunii świętej. Tak też uczyniono. Był dziewiąty dzień nowenny, a ja z wielką radością wydałam okrzyk: „Mamo! ja was widzę" – wzruszenie było nie do opisania, radość nie miała granic. Relikwie zachowaliśmy i złożyliśmy ofiarę jako wdzięczność za uzyskany cud. Obraz świętej Teresy od Dzieciątka Jezus znajduje się w kościele w moim rodzinnym mieście – Brzostku. Wróciłam do szkoły, oczy moje były bardzo wrażliwe na światło dzienne i słońce. Zaczęłam unikać dzieci. Byłam oszpecona śladami po zakażeniu. Miałam zaległości w nauce i przez to dużo zajęć.

Niemcy wywozili młodzież i całe rodziny. Nas też to dotknęło. Pewnego dnia czekały furmanki i pozwolono nam wziąć tyle, co zdążymy, a było bardzo mało czasu. Nikt nie wiedział, co z nami będzie. Furmankami dojechaliśmy do jakiejś stacji kolejowej – tam stał pociąg, którym jechaliśmy nie wiedząc gdzie. Transport zatrzymał się i musieliśmy wszyscy wysiąść. Szliśmy całą gromadą. Okazało się, że to był Kraków. Zobaczyliśmy dużą bramę. Na bramie, drzewach i słupach wisiały włosy ludzkie, splecione warkocze na skórze. Były też przedstawione makabryczne sceny morderstw. Każdy przerażony szedł przed siebie. Za bramą rozdzielano kobiety od mężczyzn, z kobietami szły dzieci płci żeńskiej, a z mężczyznami chłopcy (nie brano pod uwagę wieku). Potem kazano się rozebrać. Straszne wrażenie: kobiety nagie, dziewczyny też. Otworzono duże drzwi. Okazało się, że jesteśmy w dużej łaźni. Poza ścianami i prysznicami nic nie było. Było bardzo duszno. Po tych kąpielach wyprowadzono nas z powrotem, skąd przyszliśmy. Pamiętam, jak mamusia płakała i prosiła na kolanach, żeby nas odłączono od grupy, byśmy mogli jechać do tatusia. Po wielkich trudach rodzina nasza była w komplecie. Góry Alpy były bardzo wysokie. Nie było widać ani wschodu, ani zachodu słońca. Bauer, u którego tatuś pracował, mieszkał w dolinie. Bydło

Zofia Malinowska, lat 11. 1943 r., Essling, Austria.

wypędzano na pastwisko wiosną, a powracano z nim jesienią. Tam robiono przetwory. Bauer był bogaty. Potrzebował ludzi, ale tylko do pracy. Na nas patrzył niechętnie. Proponował ulokowanie nas gdzie indziej. Tatuś domyślił się, że tym sposobem chce się nas pozbyć. Kazał więc nam się spakować i czekać. Z drugim Polakiem tatuś woził deski na stację kolejową wozem konnym. Za każdym razem jedno z nas woził na stację. Gdy już byliśmy tam wszyscy, tatuś oddał konie i wóz pod opiekę swego kolegi i powiedział, że już tam nie wraca. Był to rok 1942. Wsiedliśmy do pociągu i pojechaliśmy do Polski. Zostaliśmy tam zatrzymani przez Niemców. Po oświadczeniu rodziców, że nie ma miejsca dla dzieci u bauera, skierowano nas do majątku w Esslingu – Austria. Tam było miejsce dla całych rodzin. Praca była dla obojga rodziców. Mieszkaliśmy przy ulicy Haupstrasse 59. Tam byliśmy do końca wojny. Poznałam dobrze te okolice, ale nic nie było w stanie przesłonić pięknego krajobrazu rodzinnych stron. Tu zaczęło się twarde życie. Trzeba było mówić po niemiecku, co było dla mnie tragedią nie dlatego, że mi to sprawiało trudność, ale dlatego, że po prostu tego języka nienawidziłam. Toczyłam walkę ze sobą i górę musiał wziąć rozsądek. Bardzo szybko ten język sobie przyswoiłam. Musiałam bowiem robić zakupy, dogadać się w sąsiedztwie. Wysłuchiwałam często obelg pod adresem Polaków. Ogarniał mnie wewnętrzny bunt, ale zaciskałam zęby i milczałam. Oznaką dla Polaków był znaczek wielkości zdjęcia legitymacyjnego z dużą literą P, który każdy Polak musiał nosić. Rodzice pracowali całą dobę z krótkimi przerwami na odpoczynek. Musiałam robić sama zakupy, bo siostra powiedziała, że nie będzie tego robić, bo Niemcy mówią: „Jeszcze Polska nie zginęła". Było to dla nas wielką obelgą – to fakt – ale co było robić. Było nas pięć osób. Na utrzymanie rodziny było 20 marek. Żywność była wydzielona na kartki.

Mamusia bardzo ciężko zachorowała – był to sierpień 1943 roku. Musiała iść do szpitala – tam leżała 8 miesięcy, miała też operację. Stan był bardzo ciężki. Trzeba było mamusię odwiedzać, a nie było na przejazd tramwajem. Od naszego miejsca zamieszkania było zbyt daleko, żeby można było dojść. Austriaczki od nas chętnie kupowały lepsze produkty żywnościowe i było na drogę i kupno owoców dla mamusi. Lekarz powiedział, żebyśmy nie byli zaskoczeni, gdy się dowiemy, że mamusia nie żyje. Prosiłam Boga, żeby mamusia mogła żyć jak najdłużej, żeby podróż mijała szczęśliwie.

W Wiedniu były często alarmy, bombardowania. Ciągła syrena oznaczała, że będzie alarm, krótka i częsta – alarm tj. bombardowanie. Gdy się było w drodze w czasie alarmu, cały ruch uliczny zamierał, stawały też tramwaje i trzeba było wychodzić i uciekać, gdzie się dało, aby nie być na ulicy. Po alarmie poszarpane linie tramwajowe, powywracane wagony tramwajowe, samochody, zbombardowane niektóre budowle. Cisza, ale godna pożałowania rozpacz. Każdy zagubiony, zaniepokojony. Najgorsza była zima. Szybko robiło się ciemno. Alarmy były przeważnie po południu, rzadziej w nocy. Stale strach i napięcie. Do mamusi jeździłam 2-3 razy w tygodniu. Wracając myślałam, czy czasem nie zastanę zgliszczy domu, do którego wracam albo jadąc do mamusi myślałam, czy szpital nie został zbombardowany. I tak z dnia na dzień. Mimo tak napiętej sytuacji trzeba było ryzykować i udawać się w podróż, wiedząc o tym, że można nie wrócić. Miasto Wiedeń, gdzie leżała mamusia, zdążyłam poznać. Ważniejsze budowle i zabytki pamiętam do dziś. Miasteczko, tzw. „Prater" uległo w większości zniszczeniu. To było coś w rodzaju wesołego miasteczka, ale zajmowało ono duży obszar i wyposażone było w przeróżne kolejki w skałach i na różnych płaszczyznach. Można było zobaczyć wiele ciekawych rzeczy. Było tam też olbrzymie koło z wagonikami, z których można było oglądać panoramę Wiednia.

W szpitalu razem z mamusią leżała kobieta, tylko w lepszej sytuacji zdrowotnej. Była to mieszkanka Wiednia. Miała męża, ale byli bezdzietni. Ta pani upatrzyła sobie mnie i gdy się dowiedziała, że mamusi stan zdrowia jest beznadziejny, zaproponowała mi adopcję. Oj, źle trafiła. Po rozmowie ze mną doszła do wniosku, że nie tak łatwo mnie zdobyć. Stała jednak przy swoim – wymusiła na mnie wizytę w jej domu. Żeby się „odczepić" od niej pojechałam w odwiedziny. Rzeczywiście było tak, jak mówiła: piękne mieszkanie w centrum Wiednia, elegancko umeblowane. Było to starsze małżeństwo. Jasno powiedzieli mi, że to wszystko będzie moje, żebym tylko zgodziła się zostać ich dzieckiem. Co prawda, to cierpliwie słuchałam ich mowy. Starałam się nie mówić wiele, żeby nie powiedzieć czegoś zbytecznego. Stałam przy swoim, nie mogłam żyć w dobrobycie, gdy byłam potrzebna w domu. Oni nie tracąc nadziei obdarowali mnie pięknym, błękitnym materiałem na sukienkę. Wzięłam to, bo mi wciśnięto. Jednak uszytej sukienki z tego materiału nie nosiłam, oddałam ją siostrze. Tak się skończyła moja przyjaźń z nimi.

Mamusia była w pierwszym miesiącu ciąży, gdy została zabrana do szpitala. Choroba i operacja nie miała z tym nic wspólnego. Jednak osiem miesięcy leżenia, w tym narkoza, zagrażało wielkim nieszczęściem. Namawiano mamusię do usunięcia ciąży. Była ona osobą bardzo wierzącą i nie dała się namówić. Dnia 18 marca 1944 roku z Bożą pomocą urodził się brat Józef. Był duży, silny, o niebieskich oczach, włosy jasne z lokami. Niemcom bardzo się podobał i namawiali mamusię, żeby im go oddała. Wielkim zaskoczeniem dla lekarzy był mamusi poród. Dla mnie radość nie miała granic. Przyrzekłam sobie, że będę robić wszystko, by pomóc w wychowaniu brata. Zdecydowanie walczyłam o zabranie mamusi z dzieckiem do domu. Pomimo trudności – choroba mamusi, nas kilkoro, małe dziecko, wojna – nie traciłam zapału do pomocy. Wytrwale wykonywałam, co tylko było możliwe. Nie zrażały mnie zabrudzone pieluszki, cierpliwie znosiłam docinki dzieci niemieckich, że bawię dziecko. Unikając kontaktu z nimi, wyjeżdżałam z wózkiem tam, gdzie mogłam być sama.

Stan zdrowie mamusi był nie najlepszy. Musiała co jakiś czas jeździć na konsultacje do szpitala. Jeździłam z nią. Tu znów przykra przygoda z alarmem. Było tak: wracałam już z mamusią do domu ze szpitala. W drodze zastał nas alarm. Musiałyśmy opuścić tramwaj, jak wielu innych ludzi. Przez czas alarmu siedziałyśmy w piwnicy w jednym z domów. Po alarmie, jak zwykle, tramwaje poprzewracane, ruiny, ciemność, ludzie zagubieni. Mamusia już nie wytrzymała. Zeszłyśmy więc na bok i mamusia usiadła w wywróconym wagonie tramwajowym oświadczając, że dalej już nie jest w stanie iść. Kazała mi dotrzeć do domu. Nie stawiałam oporu, bo wiedziałam, że mamusia mówi to stanowczo. Odeszłam, zostawiając ją w tym wagonie. Jednak dalej nie poszłam jak do jezdni. Zrozpaczona, zmarznięta. byłam bez wyjścia. Dokuczał bowiem głód, ziąb i przeraźliwa ciemność. Ludzie się rozpierzchli, każdy w inną stronę. Nie byłam w stanie nic mamusi pomóc. Stałam bezsilna na drodze. Nie oddalałam się nigdzie, bo miałam świadomość, że gdy odejdę dalej, to już nie odnajdę wagonu, w którym została mamusia. Czułam, że mamusia kostnieje z zimna i cierpi głód. Po dłuższym wpatrywaniu się w ciemną dal, zobaczyłam światło i usłyszałam warkot silnika samochodowego. Stałam na środku jezdni i nie wiedziałam, co mi los przyniesie. Zbliżał się olbrzymi potwór, kierowca zaczął alarmująco trąbić. Odczuwałam ogromny strach, nie zeszłam jednak z drogi, nie mając wyboru uparcie stałam dalej. Olbrzymie koła i wysoka maska samochodu stanęły przede mną. Kierowca wychylił się z samochodu i zaczął ostrym tonem zmuszać mnie do zejścia na bok. Gdy mu powiedziałam, że nie jestem sama, niezbyt chętnie wysiadł z wozu. Z niedowierzaniem poszedł za mną do wagonu tramwajowego. Kierowca ulokował mamusię na siedzeniu obok siebie, ja też się wcisnęłam i tak dotarliśmy do domu. Po tej przygodzie mamusia dłuższy czas leżała w łóżku.

Pomimo problemów, jakie narosły na obczyźnie i w czasie bombardowań, nie zapomnieliśmy o tradycjach związanych z kultem religijnym. Chodziliśmy do kościoła, ubieraliśmy choinkę, był opłatek, była też wieczerza wigilijna, chociaż skromna. Ubrana choinka przyczyniła się do zapomnienia, że jest wojna, kłopoty, niedostatek, nieszczęścia. Wpatrzona w strojne drzewko chociaż na chwilę zapomniałam o wszystkim złym. Była to jedyna radosna, beztroska chwila w czasie wojny.

cdn.

Zofia Malinowska

JESZCZE O IGNACYM

Żywym zainteresowaniem przeczytałem wspomnienia Janka Muszyńskiego o Ignacym Bieńku – malarzu. Zadziwiła mnie tak szeroka znajomość, nie tylko twórczości, ale także znajomość z perspektywy autora wspomnień, wsparta niewątpliwym talentem narracyjnym. Zdarzyło się, że ja znałem Ignaca nie tylko z okresu zielonogórskiego, ale także z czasu postudyjnego, związanego z pracą konserwatorską w Boguszycach koło Rawy Mazowieckiej. Oczywiście pracował tam nie sam Ignac – był z Krakowa jego starszy kolega oraz z Warszawy trzech absolwentów ASP z pracowni Jana Cybisa (w tym autor tej notatki). Poznając z wolna osobowość Bieńka, nie mogliśmy się pozbyć wrażenia, że nie jest on człowiekiem tego czasu (zresztą my nimi też nie byliśmy – mowa przecież o roku 1952, z jego stalinowskim „urokiem"), że przystawałby bardziej do czasu Grottgera. Dziwną wydawała się nieobecność świeżo poślubionej żony, o której zresztą zgoła nie wspominał. Myślami uciekał za to do gór, do rodzinnej Bystrej. Generalnie był to czas spokojnego wytchnienia i refleksji po burzliwym okresie studiów, w trudnych dla większości warunkach. I chyba jedyną atrakcją tego naszego „zesłania" był dziwaczny, nieforemny osiołek, któremu Ignac oddał całe (chyba) swoje uczucie.

Cezurami czasowymi były wyjazdy na targ do Rawy po zaopatrzenie (w księżowskiej kuchni gotowaliśmy sobie sami na zasadzie kolejnych dyżurów). Ja i Ignac odbywaliśmy te podróże zamiennie. On doceniał fakt, że ja radzę sobie jakoś z Muffym (a raczej oficjalnie – Muftym). Np. reagował on pozytywnie na moje kowbojskie czy ukraińsko-rosyjskie przyśpiewki. Ale także często był nieposłusznym, oślim indywidualistą. Wracałem np. dwukółką z zakupami, pora obiadu bliska, a osioł stoi, stoi, wącha koński (kobyli) nawóz i ani myśli odbyć ostatnie 100 m drogi. A zdarzyło się i na odwrót. Ignac jedzie wierzchem do Rawy (4 km), ja ciuchcią. Mam na niego czekać na stacji kolejowej. Wysiadając widzę kogo? Ignaca zabłoconego, zmięta twarz, osła ani śladu. Cóż się wydarzyło? Ano, w chwilę po wyjeździe mija go pan leśniczy na pięknej klaczy, więc Muffy za nią, coraz szybciej, aż na skrzyżowaniu ulic w Rawie pozbył się jeźdźca w sposób gwałtowny i znikł (znalazł się na zwykłym miejscu na targowisku).

Ignac miał bardzo oryginalny sposób prowadzenia narracji („... i on miał nóż, a ja miałem siekierkę – ja nie uciekałem, a on mnie nie gonił"). Miał też naprawdę dziwne przygody, które relacjonował tym swym dziwnym językiem. Jeszcze w czasie studiów zdarzyło mu się wybrać w Bieszczady – z polową sztalugą, kasetą i płótnem – „bo tam piękny pejzaż". Nim zaczął malować, usłyszał z lewa i z prawa strzelaninę (tak, tam były jeszcze wtedy walki z Ukraińcami). Strzały coraz bliżej, więc gorączkowo malarz szuka schronienia – znajduje za spaloną chatą wyschniętą studzienkę, więc wrzuca bagaż i sam skacze do środka. A oto i słyszy słowa, zdania po ukraińsku, nieruchomieje, czeka. Po pewnym czasie strzały już z dali, ale... nie może wyjść ze studzienki. Jeszcze godzina, głosy po polsku, więc krzyczy z tej studzienki, ale żołnierze biorą go za ukrytego Ukraińca. Dramatyczne wyjaśnienia. Wyciągają go.

Innym razem w owym czasie wybrał się do Kalwarii Zebrzydowskiej zobaczyć i udokumentować plastycznie zjazd dziadów proszalnych. „Bo to wiesz, to są wspaniałe typy ludzkie, malarskie typy!" Więc szkicował, rysował do wieczora. A nocleg? Gdzie? Poszedł więc z dziadkami do ich noclegowni, a tam zdemaskowano go. Krzyki – „szpieg, agent", szturchańce, zaciśnięte kułaki. Uciekać! Do drzwi nie przebije się, a więc przez okno piwniczne. Wyrzuca torbę z przyborami, wciska się w otwór okienny, dziadkowie ciągną za nogi, on wierzga, macha, kopie, zapiera się o ramę okna i ostatkiem sił wyrywa nogi z nieprzyjaznego wnętrza.

Do Boguszyc (już wspomnianych) przybył Ignac Bieniek jako pierwszy. W Rawie znalazł się u schyłku dnia, przed nim 4 km pieszej wędrówki. Zmęczony długą podróżą dociera do pierwszych chat. Boguszyce czy nie? Przed domem 2 ławy, na jednej z nich leży człowiek. Ignac dotyka jego ramienia, pyta: „ Panie, daleko do plebanii?" Nic. „Panie." Cisza. Ano, śpi mocno, więc i on sam kładzie się na sąsiedniej ławie, zasypia. Budzi go głośny okrzyk kobiety: „Jezu, Michał zobacz, wieczorem przynieśli drugiego topielca!" Ignac zrywa się wystraszony i widzi, jak baba wytrzeszcza oczy, blednie i mdleje.

Ja zrezygnowałem z prac konserwatorskich wiosną 1953 r., potem 2 miesiące letnie na Mazurach, a jesienią wyjazd z Warszawy do Zielonej Góry. Tu prostuję – Bieniek przybył do Zielonej Góry nie w 1953 r., lecz 1954. Zatrzymał się w Cigacicach po lustracji... cmentarza i stwierdzeniu: „tu można mieszkać, ludzie tu długo żyją". A więc w cigacickim „kurorcie", w pewnym okresie, mieszkało 4 plastyków. Najdłużej pozostał I. Bieniek, ale i on (z żoną) zjawił się w końcu w Zielonej Górze. Lata zielonogórskie to spokojny okres – może to wpływ żony? Energiczna Ingeborga przejęła całkowicie inicjatywę a zapewne i dowództwo w rodzinie. Pozostańmy więc przy materiale, który zebrał Jan Muszyński i był łaskaw w poprzednim numerze podzielić się nim z czytelnikami pionierskiego periodyku.

Witold Nowicki

W całej literaturze historycznej o Zielonej Górze wyrażany jest pogląd, że do połowy XVII wieku całe miasto, z wyjątkiem kościoła parafialnego św. Jadwigi i murów obronnych, zbudowane było z drewna.

Zielona Góra przed wiekami - drewniana czy murowana?

Tak przedstawiony obraz odbiegał w istotny sposób od standardu średnich miast Dolnego Śląska, które już w XV wieku miały znaczny procent zabudowy murowanej. Nie sięgając daleko, można podać, że tak było w Kożuchowie, Żarach czy Żaganiu. Stwierdzając fakt budowlanego ubóstwa dawnej Zielonej Góry, kronikarze i historycy nie wyjaśniają przyczyny takiego stanu rzeczy. Tymczasem sprawa była frapująca, zważywszy, iż stan gospodarki naszego miasta od czasów średniowiecznych przedstawiał się całkiem dobrze, o czym decydowało rozwinięte sukiennictwo i winiarstwo oraz ożywiony handel. Dlaczego więc bogaci mieszczanie mieszkali w lichych domostwach? Dlaczego burmistrz i rajcy zasobnego grodu obradowali w niepozornej, drewnianej izbie, podczas gdy ich koledzy w Kożuchowie, Żaganiu czy Żarach mieli do dyspozycji okazałe sale w murowanych ratuszach?

Odpowiedź na te pytania jest już dzisiaj możliwa i wyjaśnia, że wcale tak nie było. Dowodzą tego odkrycia z ostatnich kilku lat. Pierwsze dotyczy ratusza, który według relacji kronikarzy i autorów opracowań historycznych miał być zbudowany od podstaw po zniszczeniu przez pożar w roku 1651. Tymczasem remont elewacji ratusza prowadzony w 1989 roku ujawnił coś innego. Usunięcie tynków ujawniło istnienie gotyckich murów z XV wieku i to nie jakiegoś fragmentu, lecz całych ścian od cokołu po dach. O tym, że są to mury średniowieczne mówił charakterystyczny sposób wiązań cegieł, a także architektoniczny detal w postaci międzyokiennych wnęk (jedną z nich pozostawiono nie otynkowaną w charakterze świadka). Wnęki te, podobnie jak inne udokumentowane detale (gzymsy, fragment portalu), pozwolą na rysunkową rekonstrukcję pierwotnego ratusza. Miał okna identycznego kształtu jak wspomniane wnęki. Na ich miejscu znajdują się obecne otwory okienne, ukształtowane tak w czasie odbudowy po pożarze w 1651 roku. Obrys gotyckiego ratusza pokrywa się z obecnym, klasycystycznym korpusem budowli z wieżą, bez bocznych skrzydeł i dobudówek. Miał charakterystyczne dla średniowiecza schodkowe szczyty, widoczne na starych widokach Zielonej Góry.

Po tych ustaleniach nie można już pisać (a ciągle się to zdarza) o ratuszu jako o budowli powstałej na miejscu drewnianej w XVII wieku. Prawda jest taka, że klasycystyczny w obecnej postaci ratusz, ukształtowany tak w 1801 roku, kryje gotyckie mury z XV wieku. To, że architektoniczny styl budynku świadczyć może tylko o jego przekształceniu, a nie wzniesieniu od podstaw, okazało się także w przypadku innego obiektu. Na początku lat dziewięćdziesiątych podjęto remont secesyjnego domu towarowego przy Starym Rynku. Nieszczęsny remont zakończył się rozbiórką, ale zanim to nastąpiło obserwacje murów pozwoliły ustalić obecność gotyckiej ściany murowanej z cegły. Miała blisko 3 m wysokości i 6 m długości. Wykorzystana została ze starego budynku, na miejscu którego wzniesiono w 1905 roku dom handlowy. To odkrycie było pierwszym sygnałem poświadczającym istnienie w średniowiecznej Zielonej Górze gotyckiej zabudowy murowanej. Kolejnego dowodu dostarczyły prowadzone aktualnie badania archeologiczne przy ulicy Krawieckiej, na posesji przyległej do terenu wspomnianego, rozebranego domu towarowego. Archeolodzy założyli wykopy na placu, gdzie stały dwie kamieniczki, zburzone w pierwszych latach po wojnie. Z zachowanych fotografii i rysunków archiwalnych wiadomo, że były to domy piętrowe o wąskich elewacjach i strzelistych szczytach. Obecne badania odsłoniły spod gruzów przesklepione piwnice oraz przyziemne partie ścian obu budynków. Wątek ceglanych murów jednoznacznie określa ich powstanie na koniec XV lub początek XVI wieku.

Dokonane w ciągu kilku ostatnich lat odkrycia weryfikują zasadniczo poglądy o średniowiecznej architekturze Zielonej Góry. Pozwalają zakładać, że śladów gotyckiej zabudowy jest w mieście więcej. Przykryte jednak późniejszymi tynkami pozostają niewidoczne. Odkrycia te dowodzą również, jak zawodnym źródłem historycznym są kroniki, zwłaszcza w odniesieniu do wiadomości odnoszących się do czasów poprzedzających okres, w którym przyszło żyć autorowi.

Stanisław Kowalski

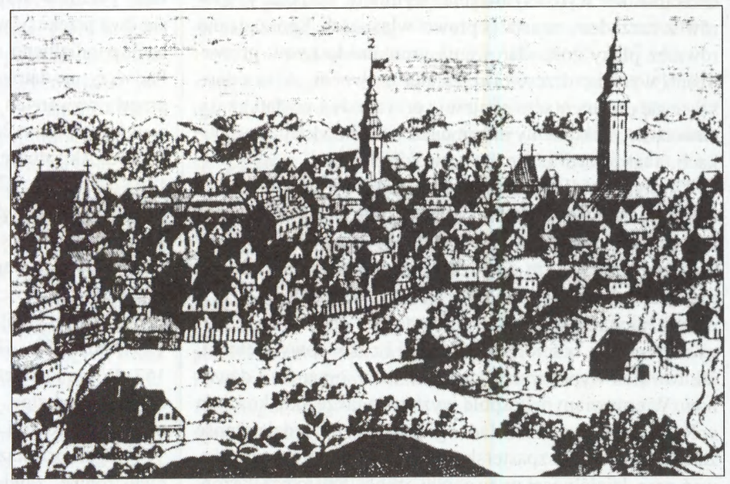

Wielokrotnie reprodukowany widok Zielonej Góry z początku XVIII w.

Udaremniony przemyt akt z archiwum parafii św. Jadwigi w Zielonej Górze

6 marca tego roku pan Hans Josef M.* próbował wywieźć z Polski trzy pełne worki archiwaliów: siedem okazałych ksiąg metrykalnych oraz liczne rękopiśmienne poszyty akt kościelnych, łącznie ponad dziesięć tysięcy kart dokumentów. Z wyjątkiem ksiąg metrykalnych oraz 4 poszytów, wszystkie pozostałe dokumenty pochodzą z archiwum parafialnego kościoła św. Jadwigi w Zielonej Górze.

Archiwalia dotyczą całokształtu działalności zielonogórskiej parafii, zarówno duszpasterskiej, jak gospodarczej i administracyjnej, przede wszystkim w okresie międzywojennym. Pewna, niewielka ilość dokumentów, powstała w XIX w. – najstarsze w latach 1845 i 1864, nieco więcej w pierwszym dwudziestoleciu naszego wieku, a pojedyncze przekazy pochodzą z czasów ostatniej wojny (data graniczna – rok 1944).

Materiały informujące o działalności duszpasterskiej, to dokumentacja chrztów, bierzmowania, pochówków, rekolekcji, wykazy dzieci przystępujących do komunii, akta dotyczące organizowanych misji, zawieranych małżeństw, szczególnie, gdy wstępujący w związek byli różnych wyznań (tzw. małżeństwa mieszane), wreszcie informacje o fundacjach mszalnych. W odrębnych poszytach występują akta przykościelnych towarzystw charytatywnych: „Caritas", Towarzystwa św. Borromeusza, św. Wincentego a Paulo, a ponadto dokumentacja działalności Katolickiego Związku Młodzieży.

Parafia zarządzała cmentarzem, była właścicielem parcel na obszarze miasta, jak również gruntów leśnych. Zachowane akta dotyczą administrowania tymi gruntami i budynkami: ich wydzierżawiania, wymiany, sprzedaży, sporów z zarządem miasta o prawo własności. Sporządzano również plany gospodarowania gruntami leśnymi; prowadzono wycinkę drzew oraz handel drewnem. Akta odnoszące się do cmentarza obejmują przychody i wydatki kasy cmentarnej, dokumenty informujące o pochówkach i nagrobkach, a także ewidencję grobów dziecięcych.

Cennym źródłem archiwalnym jest niewątpliwie dokumentacja finansowa parafii, sięgająca połowy XIX w.: dzienniki przychodów i rozchodów, sprawozdania finansowe i inne przekazy, w tym dotyczące podatku kościelnego. Nie mniejsze znaczenie posiadają akta (ze schyłku XIX w. i okresu międzywojennego) odnoszące się do prac budowlanych: remontu kościoła św. Jadwigi i rozbudowy plebanii, jak również wyposażenia kościoła, m.in. organów i dzwonów. W omawianym zespole występują także akta kościoła w Raculi, filii parafii św. Jadwigi. Dokumentują działalność zarządu, pracę duszpasterską, dotyczą remontów zabudowań oraz działalności miejscowej szkoły. Sporo przekazów informuje o działalności katolickiej szkoły gminnej w Zielonej Górze. Interesujące są zwłaszcza wykazy uczniów sprzed pierwszej wojny światowej i z okresu międzywojennego. Jeden z zachowanych poszytów zawiera dane statystyczne o działalności szkół w powiecie zielonogórskim w 1845 r.

Wspomniane na wstępie księgi metrykalne pochodzą z kościoła ewangelickiego w Zielonej Górze. Dwie księgi, to księgi zmarłych (Sterbebücher), będące ewidencją pochówków w latach 1883-1888 i 1933-1940. Pięć dalszych, to księgi chrztów (Taufbücher), obejmujące lata 1871-1878, 1895-1899 i 1907-1910. Wreszcie cztery poszyty dokumentów i pojedyncze rachunki z pierwszej połowy XIX w. pochodzą z archiwum kościoła św. Bartłomieja w Trzebnicy. Są to dzienniki przychodów i rozchodów oraz inwentarz dobytku parafii.

W zbiorze zachowało się ponadto 148 numerów czasopism, głównie pism urzędowych archidiecezji wrocławskiej, oraz niewielka ilość broszur, wśród których znalazł się list pasterski arcybiskupa Adolfa Bertrama z 1937 r. w wersjach językowych niemieckiej i polskiej. Ponad dziesięć tysięcy kart dokumentów z archiwum kościoła św. Jadwigi w Zielonej Górze stanowi istotne źródło do dziejów zielonogórskiej parafii w stuleciu 1845-1944. W zbiorze zachowały się dwa przekazy ważne dla naszej wiedzy o stanie i zasobach parafialnego archiwum w okresie międzywojennym. Pierwszy, nie datowany, to wykaz materiałów archiwalnych, przechowywanych w 3 skrzyniach. Na 8 kartach maszynopisu wymieniono 243 pozycje (zaznaczone ołówkiem), np.: poz. 76. Akta dotyczące szkoły katolickiej w Zielonej Górze 1768-1850, poz. 87. Akta dot. kościoła katolickiego w Raculi 1792-1834, poz. 106. Remonty kościoła 1879-1889, poz. 105-106. Sprawy budowlane i remonty katolickiego kościoła farnego w Zielonej Górze 1856/1891 i 1843/58, poz. 108-109. Rachunki kościoła katolickiego w Zielonej Górze 1768/73 – 1820, poz. 159. Inwentarz kościoła parafialnego 1747/1854, poz. 162. Akta dot. budowy plebanii 1812/28, poz. 167. Wieża kościelna w XVIII w. Poz. 210-218 wykazują księgi metrykalne, a poz. 219-228 plany gruntów w Zielonej Górze i Raculi będących własnością parafii.

Drugim przekazem są trzy karty maszynopisu zapisane dwustronnie, zawierające wykaz zachowanych w 1932 r. ksiąg kościelnych gminy parafialnej w Zielonej Górze (Verzeichnis der vorhandenen Kirchenbücher der Pfarrgemeinde Grünberg/Schles. im Jahre 1932). W większości są to księgi metrykalne chrztów, ślubów i pochówków parafii zielonogórskiej i pozostałych parafii należących do zielonogórskiego dekanatu, występują jednak również księgi przychodów i wydatków oraz zawierające materiały genealogiczne i dotyczące dziejów parafii. Zapisy w księgach obejmują lata 1582-1915. Wbrew twierdzeniu autorów książki „Zielona Góra do 1945 r. Źródła i literatura", że „akta metrykalne parafii wytworzone do 1793 r. zostały zniszczone lub rozproszone na początku XIX w.", w wykazie odnotowuje się księgi zmarłych z lat 1679-1692 i 1692-1729, księgi chrztów, lata 1651-1679 i 1679-1695, oraz księgę ślubów z lat 1679-1702.

W zbiorze dokumentów Towarzystwa św. Borromeusza zwraca uwagę niekompletny plik 22 numerowanych wykazów książek zakazanych. Wykazy przesyłał zarząd Towarzystwa, uzasadniając negatywne opinie o książkach względami światopoglądowymi. Łącznie z własnymi wykazami Generalny Sekretariat Towarzystwa przesyłał również urzędowe listy książek zakazanych, które nas bardziej interesują. Na tych ostatnich brak już rzeczowych argumentów, mających uzasadniać wycofanie książek z bibliotek, określenie, że autor jest Żydem miało wyjaśniać wszystko. Tę kategorię autorów umieszczano zwykle na początku listy. Wśród pisarzy zakazanych znaleźli się: J. London, T. Mann, H. Heine, E. Ludwig, T. Mommsen, E.M. Remarque, R. Rolland, A. Sinclair, R.L. Stevenson, L. Wallace, A.G. Wells, A. Zweig, S. Zweig i dziesiątki innych, w tym również Henryk Sienkiewicz, którego „Krzyżacy" znaleźli się na jednym z pierwszych miejsc zakazanych lektur. Listy traktowano jako poufne, przestrzegając, aby nie dostały się w niepowołane ręce. Jedną z pierwszych zatytułowano „Schwarze Liste" („Czarna lista").

Szczególne znaczenie dla badań polskich tradycji Zielonej Góry posiadają zachowane w zbiorze liczne wykazy uczniów katolickiej szkoły gminnej (sprzed I wojny i okresu międzywojennego). Ilość czysto polskich nazwisk na tych wykazach jest zróżnicowana, z reguły jednak znaczna, niekiedy sięga nawet 30 proc. liczby uczniów. Zwraca przy tym uwagę różny stopień germanizacji polskich nazwisk. Obok pisowni całkowicie poprawnej takich nazwisk, jak Mikołajczyk, Kaminski (pisanych jednak bez znaków diakrytycznych), Kucz, Grzybek, Siekierski (pomijam nazwiska typu Kaptur, Glapa, Drozd, gdyż nie stwarzały one trudności w ich poprawnym napisaniu niemieckiemu kanceliście), występują w spisach: Bartosch, Maschinski, Wilschek, Wieschollek, Nawrazal, Sobischinski. To zróżnicowanie jest specyficznym odbiciem społeczno-narodowościowego procesu, jaki obserwujemy w Zielonej Górze u schyłku XIX i w początkach naszego wieku. Wraz z postępującą industrializacją miasta napłynęła w tym czasie do Zielonej Góry fala polskich robotników i rzemieślników, czego wyrazem było utworzenie przez Kazimierza Lisowskiego w 1898 r. Towarzystwa Rzemieślników Polskich, a tuż przed wybuchem I wojny światowej – Towarzystwa Czeladzi Katolickiej i Związku Katolickich Robotników; już w okresie międzywojennym powstał Oddział Związku Polaków w Niemczech. Nazwiska polskie transkrybowane według zasad pisowni niemieckiej identyfikować należy w większości z wynarodowionymi już potomkami ludności rodzimej, natomiast nazwiska czysto polskie – z nową falą polskiej emigracji zarobkowej, reaktywującej polskie tradycje Zielonej Góry, które kontynuowało arcybiskupstwo wrocławskie, przesyłając aż do września 1939 r. listy pasterskie arcybiskupa A. Bertrama do zielonogórskiej parafii także w języku polskim.

Pan Hans Josef M. wśród przemycanych dokumentów niewątpliwie nie dostrzegł przekazów poświadczających polskie tradycje Zielonej Góry. Znaczenie zasadnicze miały dla niego z pewnością okazałe księgi metrykalne, istotne dla badań genealogicznych i osiągające wysokie ceny w niemieckim handlu antykwarycznym. Za pojedynczą księgę metrykalną z obszaru Śląska uzyskać można nawet kilka tysięcy marek. Cena uzależniona jest od czasu powstania księgi, jej objętości oraz stanu zachowania. A w zbiorze znajdują się również interesujące antykwariuszy dokumenty, np. korespondencja sięgająca połowy XIX w.

Zielonogórskie księgi metrykalne zachowały się w bardzo dobrym stanie. Nie można tego powiedzieć o archiwaliach z kościoła św. Jadwigi. W chwili przechwycenia na granicy znaczna ich część (około 30 proc.) była silnie zawilgocona, a część dokumentów nawet zbutwiała.

Nasuwa się nieodparcie pytanie, w jakich okolicznościach Hans Josef M. wszedł w posiadanie zbioru, stanowiącego część zielonogórskiego archiwum parafialnego? Jego twierdzenie, że przemycany zbiór zakupił na targach staroci we Wrocławiu, należy włożyć między bajki. Targi odbywają się bowiem w każdą ostatnią sobotę miesiąca, natomiast Hans Josef M. został zatrzymany na granicy, jak wspomnieliśmy, 6 marca. Musiałby więc przez tydzień trzymać w bagażniku swojego samochodu przemycane akta. Najprawdopodobniej wcześniej skontaktował się ze sprzedawcą, a do transakcji doszło w Zielonej Górze.

Cenną wskazówką dla rekonstrukcji losów zielonogórskiego archiwum parafialnego jest fakt występowania w zbiorze polskich dokumentów powojennych. Składają się na nie: zeszyt ewidencji świec, cztery zamówienia chrztów z 1950 r. oraz obwieszczenie „Opłatki kościelne". Archiwum nie uległo więc rozproszeniu w czasie ostatniej wojny, gdyż jeszcze w 1950 r, znajdowało się w dyspozycji polskiego proboszcza. Nasuwają się w związku z tym dalsze pytania: co stało się z pozostałą częścią archiwum oraz kto sprzedał niemieckiemu przemytnikowi archiwalia należące – stosownie do postanowień art. 15, ust. 1 Ustawy z dnia 14 VII 1983 r. o narodowym zasobie archiwalnym i archiwach – do Narodowego Zasobu Archiwalnego, podlegającego specjalnej ochronie?

Jedno nie ulega wątpliwości: osoby, które doprowadziły parafialne archiwum do tak żałosnego stanu, wykazały całkowity brak odpowiedzialności i dyletantyzm w sprawach zielonogórskiego dziedzictwa kulturalnego, istotnego również dla badań nad polską ludnością naszego regionu.

* Imiona i inicjał zmienione.

Grzegorz Chmielewski

„Ziemia Lubuska"

To, że dwudziestowieczny artysta nie zamyka się w „wieży z kości słoniowej" jest oczywistością znaną od dawna. Działania członków ZPAP w Zielonej Górze w warunkach kulturalnego pionierstwa zawierały się więc oczywiście zarówno w twórczej działalności wystawienniczej, doraźnej pracy zarobkowej w dziedzinie plastyki użytkowej, ale także w inicjatywach o charakterze społecznym.

Tak więc w roku 1966, z okazji nadania statkowi do przewozów masowych imienia „Ziemia Lubuska", zjawił się pomysł wyposażenia tej jednostki pływającej w dzieła zielonogórskich plastyków. Nie był to zresztą pomysł całkowicie nowy – istniała już wówczas praktyka głębszego powiązania załogi statku z krajem, w sytuacji, wielomiesięcznego niekiedy, oderwania od rodziny i ziemi ojczystej. Idea patronatu wiąże się więc logicznie z jego nazwą. Patronatu zawierającego z jednej strony pojęcie „ląd – statek", a z drugiej „statek – ląd". Załoga w dalekich rejsach styka się z pytaniami o nazwę statku i jej znaczenie, o informacje na temat kraju ojczystego marynarzy lub pewnych regionów tego kraju.

Udział w pracy twórczej na rzecz „Ziemi Lubuskiej" zadeklarowało 8 artystów – plastyków. W rezultacie kilkumiesięcznej pracy miały powstać: panorama Zielonej Góry, panorama Gorzowa, pejzaże z miast regionu – Żar, Międzyrzecza, Sulechowa, Łagowa, Strzelc Krajeńskich oraz przedmioty ze srebra na stół kapitański. Niezbędnym uzupełnieniem pracy twórczej okazała się potrzeba pomocy materialnej na zabezpieczenie autorom niezbędnych materiałów, jak: płótna, ramy, farby, blacha miedziana i srebrna. Taką pomoc uzyskano od Wydziału Kultury PWRN w Zielonej Górze. Mijałbym się z prawdą, gdybym stwierdził, że realizacja uzgodnionych w zespole dzieł przebiegała harmonijnie i bez zakłóceń. Osiem indywidualności niełatwo staje się zgranym zespołem roboczym, a więc i praca koordynatora, którą wziął na swoje barki niżej podpisany, okazała się być trudna i żmudna, a czas realizacji chwilami płynny i niepewny. Niewątpliwie największego wkładu pracy, a także inwencji, wymagały 2 panoramy (Zielona Góra, Gorzów) o formacie 50x300 cm. Autorzy, W. Cichacz i W. Nowicki, zastosowali mieszaną technikę malarstwa i metaloplastyki. Ta technika pozwoliła nie tylko mocniej wyeksponować piękno architektury tych miast, ale także uzyskać interesujący, silny efekt dekoracyjny we wnętrzu statku. Dobre działanie plastyczne prezentował także herb Zielonej Góry kuty w blasze miedzianej. Na stół kapitański przeznaczone zostały naczynia z blachy srebrnej – patera na owoce i popielnica – ukształtowane na podstawie zielonogórskich projektów przez spółdzielnię „Rytosztuka" w Poznaniu (u nas nie było wówczas takich możliwości technicznych).

Po szczęśliwym przezwyciężeniu problemów twórczych i organizacyjnych całość zaplanowanego dzieła została wyeksponowana na wystawie darów dla statku „Ziemia Lubuska" w pierwszej połowie 1967 r. Wystawa, udokumentowana plakatem i katalogiem, została przyjęta z żywym zainteresowaniem. Następnie, korzystając z postoju statku w porcie szczecińskim, władze kulturalne naszego województwa oraz przedstawiciele Okręgu Związku Polskich Artystów Plastyków uroczyście przekazali dzieła kapitanowi statku. Pracochłonnego montażu dokonano sprawnie przy współudziale załogowych mechaników. Niespodziewanym akcentem politycznym skromnego przyjęcia na pokładzie „Ziemi Lubuskiej" była radiowa informacja o wybuchu drugiej wojny izraelsko-egipskiej. Na zakończenie – aby uniknąć anonimowości – wypada wymienić nazwiska członków zespołu, autorów prac (kolejność wg katalogu wystawy):

1. „Panorama Zielonej Góry" – Witold Nowicki, Witold Cichacz
2. „Strzelce Krajeńskie" – olej – Józef Burlewicz
3. „Żary" – olej – Józef Roszak
4. „Zielona Góra zimą" – olej – Zygmunt Pranga
5. Popielnica srebrna – proj. i graf. – W. Cichacz, W. Nowicki
6. Patera srebrna – proj. graf. – W. Cichacz, W. Nowicki
7. „Łagów" – olej – Kazimierz Rojowski
8. „Międzyrzecz" – olej – Klem Felchnerowski
9. „Sulechów" – olej – Janusz Skiba
10. „Panorama Gorzowa" – Witold Cichacz, Witold Nowicki.

Na zakończenie wypada zaakcentować, że wymienione powyżej rezultaty pracy twórczej zielonogórskich artystów stanowiły w sumie dar społeczeństwa naszego regionu dla statku „Ziemia Lubuska". Ze swej strony armator – PŻM w Szczecinie – zaoferował możliwość odbycia rejsu okrężnego na pokładzie „Ziemi". Ale – ujawnił się problem – na skutek działań wojennych Kanał Sueski został wyłączony z żeglugi, statek kursował więc wokół Afryki, a następnie z docelowego portu w Japonii wracał przez Kanał Panamski do kraju. Propozycja interesująca – rejs dookoła świata – ale czas trwania rejsu ok. 5 miesięcy, w tym pobyt na lądzie ± 7 dni. Możliwość studiowania morza i nieba ogromna, poznawania nieznanych krajów prawie żadna. Nie pływaliśmy więc „Ziemią Lubuską", chociaż W. Cichacz odbył zamienny rejs do Afryki Zach., a niżej podpisany, jako że płynął do Afryki Zach. na statku „Zielona Góra" w roku 1963, zdecydował się skorzystać z możliwości podróży statkiem „Lewant II" do portów północnoafrykańskich. A była to także piękna podróż z polskiej zimy do portugalskiej wiosny i algierskiego lata.

Witold Nowicki

Reprodukcje trzech części „Panoramy Zielonej Góry"

Rozmyślania po północy

Drogi Stefciu!

Przeglądam dwie opasłe teczki zgromadzonej dokumentacji o Tobie w naszym Muzeum. Na ich podstawie nie można jednak bezbłędnie zrekonstruować Twojej drogi twórczej. Wiele znaków zapytania towarzyszy mi cały czas podczas tej próby zawłaszczenia Twojego życiorysu dla historii naszego miasta. Pierwsza znana notatka o Tobie pochodzi z roku 1947. Zapewne sam się zdziwisz jej treścią: *„W niewielkiej pracowni na pięterku, Słocki – malarz, rzeźbiarz i grafik wykonywał właśnie jedną ze swych efektownych reklam kinowych. Gdy przyglądałem się rysunkom, artysta odwijał wilgotne płótna chroniące rzeźbę w glinie. Pytany o swe plany Stefan Słocki oświadcza, że poświęci się wyłącznie rzeźbie. Ma również zamiar uruchomić artystyczną wytwórnię lalek".*

(„Zwierciadło", dodatek niedzielny „Słowa Polskiego" nr 32, z dn. 28 IX 1947 r.)

Stefan! Jedyną zrealizowaną rzeźbę plenerową sam mi pokazywałeś w 1983 r. (na zapleczu, w zieleni „Zastalu"). W naszym Muzeum jest także tylko jedna Twoja rzeźba kameralna – „Głowa dziecka" z 1946 r. (gips patynowany, odlew, wysokość 40 cm). Widziałem jednakże Twój album niezrealizowanych form przestrzennych. Chyba z dwadzieścia projektów. I wybacz Stefciu, co za paradoks? W Muzeum posiadamy 55 Twoich prac, w tym rysunki i grafiki. Przeważają zdecydowanie prace olejne. W inwentarzu zanotowano 39 pozycji malarskich. A co z tą wytwórnią lalek? Ani śladu po tym zamyśle poza tą gazetową notatką.

Stefan Słocki przybył do Zielonej Góry w maju 1945 r. Miał wówczas 32 lata. Tak wspomina te czasy:

„Na malarstwo nie było zapotrzebowania, utrzymywałem się z projektowania i malowania szyldów, wywieszek reklam. Co tu ukrywać, początkowo biedowałem strasznie. Zachorowałem, nie było pieniędzy. Żona chodziła z workiem na podmiejskie pola, kopała ziemniaki, szczęściem było, gdy dostało się trochę oleju... Pod jesień nas okradziono, straciłem wówczas ostatnie w miarę przyzwoite ubranie. Widocznie jednak bez malowania nie mogę żyć, bo malowałem właśnie dużo. Właściwie dla siebie i przyjaciół, bo o sprzedaży nie można było nawet marzyć..."

(Stefan Słocki. Muzeum Ziemi Lubuskiej, Zielona Góra 1989 r.)

Po czterdziestu latach:

„...W uznaniu zasług i społecznego zaangażowania w pracy na rzecz rozwoju życia kulturalnego w naszym mieście przyznaję Obywatelowi nagrodę pieniężną..."

Prezydent Miasta
Antonina Grzegorzewska

Zielona Góra, 29 maja 1984 r.

Wcześniej Stefan został także uhonorowany, aczkolwiek bez radości finansowej.

„...W 31 rocznicę wyzwolenia Zielonej Góry składamy Wam serdeczne i gorące podziękowania za pionierski trud włożony w dzieło odbudowy i rozbudowy naszego miasta"

Prezydent Miasta
mgr Stanisław Ostręga

I sekretarz KM PZPR w Zielonej Górze
mgr Ryszard Bąk

Zielona Góra, 14 lutego 1975

Pięćdziesięciolecie twórczości Stefana Słockiego stało się powodem do uroczystych gratulacji od wojewody zielonogórskiego, prezydenta miasta i władz politycznych. Nadal jednak jubilat mocował się ze zwykłą ludzką biedą. To jest wręcz zawstydzające o tym pisać, gdy malarz nie może kupić dobrych farb i papieru – bo za drogie.

Z okazji 75-lecia urodzin Muzeum zorganizowało zaskakującą różnorodnością, dużą wystawę retrospektywną. Trwała od 16 maja do 1 listopada 1988 r. Komisarzem była Anna Ciosk. Artysta był wzruszony. Na otwarcie przygotowano zabytkowy fotel. Stefan siedział na nim jak na tronie. Pchano się z kwiatami. Wszyscy obcałowywali Mistrza. Stefan wykorzystał sytuację i zapytał, czy nie zrobilibyśmy w stolarni Muzeum dla niego parę ramek, po zniżonej cenie. Rok wcześniej podarował nieodpłatnie osiem swoich prac do muzealnych zbiorów. Musieliśmy zachować twarz.

Czterdzieści lat wcześniej pisał: *„...Tworzę tylko wieczorami, bo zawodowo pracuję jako plastyk w »Zastalu«, obowiązuje mnie ośmiogodzinny dzień pracy, odbijanie kart zegarowych, jak urzędnika, czy to nie absurd. Wieczorem puszczam sobie płyty, mogę całą noc pracować. To są najszczęśliwsze godziny w moim życiu ..."*

(Stefan Słocki. Muzeum Ziemi Lubuskiej, Zielona Góra 1987 r.)

W teczce Stefana Słockiego znajduje się 26 dyplomów i listów gratulacyjnych. W maju roku 1985 r. przesłał na Jego adres wyrazy „wielkiego szacunku wobec osobistego wkładu w dzieło przywrócenia świetności tych Ziem i dalszego ich rozwoju dla dobra całego kraju" minister kultury i sztuki.

Było to w 40 rocznicę powrotu Ziem Zachodnich i Północnych do Macierzy; „...z dumą i najwyższym uznaniem odnosimy się do pionierskiej pracy twórców, działaczy i pracowników upowszechniania Kultury..." podkreślał Pan Minister (podpis nieczytelny). W grudniu 1971 r. wojewodowie zielonogórscy, Jan Lembas, a w lipcu 1984 Walerian Mikołajczak, przyznali Obywatelowi Stefanowi Słockiemu Lubuską Nagrodę Kulturalną, popartą także gratyfikacją finansową. Wszystko wydawał na farby i płótno.

Poza malarstwem pasją Stefana było wędkarstwo. Z ulicy Batorego, gdzie mieszkał, najbliżej było do Odry w okolicy Łężyc, w kierunku do starorzeczy, które rozlewały się aż po Czerwieńsk. Staszek Kowalski i ja zapamiętaliśmy starszego pana, który z wędziskami przywiązywanymi do ramy roweru jechał nad rzekę. Mieszkaliśmy wówczas (rok 1956) w dawnym Domu Ludowym właśnie w Łężycy.

Stefan Słocki studiował na krakowskiej ASP od 1930 do 1933 r. na Wydziale Grafiki u prof. Wojnarowskiego. Od 1933 roku kontynuował studia we Lwowie. U kogo i jak długo? Pierwszą wystawę miał w Łucku w roku 1936, potem w Równym i Zamościu. W czasie wojny pracował jako kreślarz. Gdzie?

W cytowanym w przypisach katalogu pisałem: „Stefanie Mistrzu... Studia artystyczne rozpocząłeś prywatnie w pracowni artystów krakowskich, Lewickiego i Blondera... Niezwykle trudno rozmawiać z Tobą o tym okresie, dajesz wykrętne odpowiedzi albo zmieniasz zdanie..." Przedstawiając zaś Stefana z okazji otrzymania nagrody „Nadodrza 80" („Nadodrze" z 12 października 1980 r., nr 21) napisałem po rozmowie z laureatem: „W Krakowie związany był z młodzieżą reagującą na wydarzenia, które wstrząsnęły Akademią Sztuk Pięknych jeszcze na początku lat trzydziestych za sprawą Komunistycznego Związku Młodzieży a także KPP . Z tego ruchu bowiem pochodzą nauczyciele i przyjaciele Stefana Słockiego, Leopold Lewicki i Sasza Blender. W czerwcu na zakończenie roku akademickiego 1931-1932 w trakcie przeglądu prac uczniowskich w grafice Lewickiego „Pogrzeb robotnika" dopatrzono się tendencji wywrotowych... Aresztowano siedmiu studentów... zarządzono rewizje... Sasza Blonder był młodszy od Słockiego,

Stefan Słocki z autorem tekstu, pierwsze lata sześćdziesiąte. Fot. Czesław Łuniewicz

studiował w Paryżu i Krakowie. Był współzałożycielem młodzieżowego lewicowego ugrupowania „Żywi".

Gdy w Krakowie rozeznali go szpicle, a konfidenci zatoczyli zbyt ciasne koło, przeniósł się w 1936 r. do Warszawy, a rok później wyjechał do Paryża (we francuskim ruchu oporu znany jest pod pseudonimem André). Właśnie z nim Stefan Słocki wyjechał z Krakowa do Warszawy i zamieszkał u swego kuzyna, wówczas artysty na Wydziale Rzeźby Akademii Warszawskiej. Z Lewickim Słocki zaprzyjaźnił się do tego stopnia, że „ilekroć z ważnych powodów przetrzymywano Lewickiego w Komisariacie, nie zapominano o jego młodszym przyjacielu poddając Słockiego także przesłuchaniom". Stefan Słocki był związany z lewicową „Grupą Krakowską" i zapewne wierzył w sens ideowy deklaracji: „Sztuka rewolucyjna idąc po linii dialektycznego rozwoju formy przerzuca zainteresowanie plastyczne poza martwy punk wartości tradycyjnych i przygotowuje grunt pod sztukę proletariacką". „Grupa Krakowska" formalnie założona została w roku 1932. Artyści, jej członkowie, próbowali łączyć rewolucję artystyczną ze społeczną.

Do Zielonej Góry przybył przeto malarz z poglądem ideowym i artystycznym. Ukształtowany został na romantyka – rewolucjonistę z misją przebudowy świata, gdzie hasła równość, braterstwo i socjalizm to panaceum na biedę i cierpienia wszystkich ludzi. Nastał jednak rok 1949. W styczniu minister kultury Włodzimierz Sokorski na szczecińskim zjeździe pisarzy zapowiedział formalistom, „aby porzucili wszelkie nadzieje". W dniach 30 i 31 maja odbyła się narada w KC PZPR. W zagajeniu do dyskusji Jakub Berman zauważył: „Na odcinku plastycznym musimy wydać bój abstrakcjonistom. Na tym odcinku szczególnie jest ostre niebezpieczeństwo kosmopolityzmu..." Socrealizm kazał wyrzucić na śmietnik formę Słockiego i Jego marzenia o rozwoju sztuki. Stefan był przekonany, że *„Nie można zmuszać artysty do czegokolwiek. To jest zabójstwo sztuki. Nawet myśleć o tym nie chcę"*. („Nadodrze" 15-28 V 1988 w rozmowie z Czesławem Sobkowiakiem na temat sztuki. Warto tę rozmowę przeczytać także ze względu na poetycką wrażliwość Sobkowiaka.). Tak mógł jedynie myśleć człowiek, którego ukształtowali formiści krakowscy i którego zachwyt do mechano-faktury (bezdyskusyjne uwielbienie Berlewiego) objawiał się jeszcze przez wiele lat w zielonogórskiej twórczości.

Muzeum w Zielonej Górze jest w posiadaniu także niezwykłych wierszy Stefana Słockiego, z ducha wyjątkowo formalnych, nawiązujących do poetyckiej awangardy lat trzydziestych, a co ważniejsze jego zapisków „politycznych". Może warto krótkie wyjątki zacytować: „Tam gdzie Państwo nie ma zaufania do obywateli a obywatele do swojego Państwa – tam nigdy nie będzie się dobrze działo... gdzie jest dyktatura tam musi urzędować ogromna zgraja policjantów, konfidentów, zwiadowców, wywiadowców, szpicli, prowokatorów i innych szubrawców rekrutujących się zwykle z ciemnych sadystycznych elementów, których sporo znajdzie się w każdym społeczeństwie..."

Socjalistycznemu zaczadzeniu z powodów czysto ideowych ulegali wybitni artyści. Można przywołać chociażby poglądy Władysława Strzemińskiego, Jonasza Sterna, Kajetana Sosnowskiego, Ksawerego Dunikowskiego, reprezentujących typ tak zwanego „romantycznego komunizmu". Ich dzieła nie znajdowały odzwierciedlenia w nurcie realizmu socjalistycznego, mimo że podejmowali takie próby. Epoka realizmu dla nich w sztuce już przeminęła. Dla wielu było to dramatem osobistym. Słocki z przekonania socjalista, a może tylko zwolennik nurtu lewicowego, tworzył dzieła, które nie były akceptowane w realnym socjalizmie, a więc w ustroju, który sobie wymarzył. Jego udział we wszystkich manifestacjach pierwszomajowych potwierdzał trwałość lewicowych poglądów, podobnie jak niektóre treści prac, bardziej o charakterze plansz polityczno-propagandowych aniżeli obrazów o wartościach plastycznych. Wielkie budowle socjalizmu to dla Słockiego, jak pisał Henryk Ankiewicz, świeckie katedry.

Świat jest z natury pluralistyczny. Jakie to szczęśliwe, że Stefana Słockiego nie trzeba przedstawiać jako tragicznej ofiary PRL-u. Wręcz przeciwnie. Słocki mimo swej twórczości zyskał szacunek władz i sympatię środowiska.

– Pozostawiłeś Stefciu po sobie same tylko dobre wspomnienia. Kłaniam się za Ciebie Twoim przyjaciołom i ludziom Tobie życzliwym. Nade wszystko zaś Twojej Małżonce, która zaakceptowała dyskomfort, jaki czyni w rodzinie artysta zaangażowany w Sprawę. Dla Stefana Słockiego sztuka to zasadniczy cel ludzkiej egzystencji.

PS

W pierwszych dniach września 1990 r., niestety nie możemy sobie przypomnieć dokładnie którego, do Muzeum przyszedł Stefan i zamówił kilkadziesiąt ramek do swoich grafik.

17 dnia tego miesiąca zmarł.

Jan Muszyński

obecnie lasem miejskim (ok. 40 ha) może być zamieniona na park dendrologiczny. Jest tu skupionych wiele ciekawych i często rzadkich gatunków drzew i krzewów. Spotkamy tu np. dąb szypułkowy odmiany kolumnowej, platan klonolistny, cyprysiki, daglezję zieloną, jodłę jednobarwną odmiany fiołkowej, buk pospolity odmiany purpurowej i miedzianej oraz wiele innych. Po Niemcach zostały nie zarastające ścieżki wysypane tłuczniem. Ścieżek jest dużo i tworzą „pajęczynę" wokół punktów widokowych. Te punkty to dwa sztucznie usypane pagórki. Obok znajduje się wykopany w skarpie amfiteatr. Obiekty te zarastają i powinny być po prostu oczyszczone. Na pagórkach można wybudować solidne wieże widokowe. Pozwoli to dojrzeć przy dobrej pogodzie okolice Żar. Są dwa zbiorniki wodne (jeden z wodospadem). Koniecznie trzeba je oczyścić i skierować do nich spływ wód burzowych. No i największa ciekawostka – ciekawostka o nazwie Czerwona Woda. Nazwa pochodzi od koloru wody i dna cieku oraz wszystkiego, co w nim się znajduje. Ten kolor jest powodowany przez wodorotlenek żelazowy rozpuszczony w wodzie. W dawnych archiwach niemieckich wyczytałem, że było to miejsce znane mieszkańcom naszego miasta i w związku z tym punkt docelowy spacerów. Prawda, jakie to wszystko piękne?

Wierzę, że odbudowa ogrodu botanicznego w Zielonej Górze jest możliwa i wręcz konieczna. Ponieważ założenia już są w terenie, prace porządkowe nie powinny być zbyt kosztowne w porównaniu z budową nowego ogrodu. Nie zmarnujmy tego, co jeszcze pozostało.

Leszek Jerzak, LOP

Dziękuję Panom Z. Bujkiewiczowi i T. Dzwonkowskiemu za udostępnienie materiałów archiwalnych.

Anonimowe nekropolie

Smutek, zaduma wspomnienia – to odczucia, które towarzyszą nam w zbliżającym się dniu Wszystkich Świętych i Dniu Zadusznym. Święta Zmarłych to dni, kiedy w powadze patrzymy wstecz na życie, podsumowujemy nasze osiągnięcia i zamiary, wspominamy bliskich krewnych i przyjaciół oraz nasze przeżycia z nimi.

Wracają wtedy do swoich miejsc rodzinnych krewni i znajomi, by wspólnie pomodlić się za dusze tych, co odeszli od nas na zawsze. Tysiące świateł gorejących na cmentarzach są świadectwem, że po zmierzchu tłumy ludzi wracają na cmentarze, by ponownie oddać się kontemplacjom nad życiem ludzkim, nad jego sensem i wartością. W tych dniach mieszkańcy odległych miejscowości nieraz przybywają na znajome cmentarze, by pomodlić się i zapalić znicz na grobie drogiej niekiedy osoby, kolegi z okresu zabaw dziecięcych czy młodzieńczych. Czasem niełatwo odnaleźć im miejsce spoczynku bliskiej im osoby. W ostatnich latach bowiem na naszych cmentarzach pojawiają się coraz liczniejsze „groby rodzinne". Nie ma na nich danych o personaliach pochowanych w nich zmarłych, jedynie nazwiska rodziny. Jest to naśladownictwo rodowych grobów rodzin magnackich, które jednak posiadały marmurowe tablice z imionami i nazwiskami rodowymi zmarłych, ich datę urodzin i zgonu. Taki zwyczaj po dalszym upowszechnieniu się może spowodować powstanie „anonimowych nekropolii", na których po kilku czy kilkunastu latach nikt nie będzie wiedział, gdzie leżą bliscy mu ludzie. Zwyczaj budowania „grobów rodzinnych" rozpowszechnia się również w naszym mieście, co odnotować należy z niepokojem. Oznaką pamięci o umarłych są również rocznice urodzin czy zgonu.

Stanisław Prałat

Historia piwowarstwa na świecie cd.

O warzeniu piwa na Śląsku świadczą zachowane do dzisiaj dokumenty archiwalne znajdujące się w Muzeum Zamkowym w Pszczynie. Wynika z nich, że browar w Tychach założono w 1629 r., a na pierwszego piwowara mianowano Stanisława Staskę. Był on równocześnie słodownikiem. Poza nim właściciel browaru zatrudniał pisarza. Jego zadaniem było prowadzenie podręcznego spisownika.

Najbardziej znanym browarem Wielkopolski był browar w Grodzisku. Produkowane w nim piwo zawdzięcza swoją sławę przede wszystkim doskonałej wodzie, pochodzącej z miejscowych źródeł. Browar zaopatrywał nie tylko Wielkopolskę, ale całą Koronę, a nawet państwa ościenne.

Jak wspomniano, mieszczanie walczyli o panowanie na wiejskim rynku piwem z karczmarzami. Obu jednak konkurentów dość szybko zastąpił nowy zwycięski partner – szlachta. Browar zaczął też zajmować znaczące miejsce we wzorowej posiadłości szlachcica.

Browar, zwany mielcuchem, był więc nieodzownym wyposażeniem folwarku. Nawet w niewielkich majątkach zajmował poczesne miejsce. Niemal każdy dwór produkował piwo dla potrzeb dworskiej karczmy, w której mogli pijać miejscowi. Najczęściej piwo było warzone w prymitywny sposób. Większość browarów mieściła się w drewnianych budynkach. Naczynia, a więc kotły, kadzie wykonane przeważnie z drewna, nie były utrzymywane w odpowiedniej czystości. Dwór nie interesował się jakością piwa, gdyż na dworze pijano piwo sprowadzane przeważnie z miasta.

W miarę upływu czasu szlachta – organizując masowo produkcję piwa – zaczęła dążyć do wyeliminowania konkurentów, którymi były przede wszystkim miasta, zwłaszcza królewskie. Trzeba było zatem produkować piwa nie gorsze od miejskich. Sprzyjało temu wiele okoliczności, przede wszystkim można było wykorzystywać do produkcji własne zboża i chmiel oraz korzystać z własnego drewna; nie bez znaczenia był również fakt posiadania taniej siły roboczej – chłopów pańszczyźnianych. Tak więc początkowo piwo z browaru szlacheckiego konkurowało niższą ceną, z czasem stawało się popularne, szlachta niekiedy w sposób wręcz brutalny egzekwowała monopol propinacji we własnych dobrach: powszechny był np. zakaz nabywania piwa w karczmach leżących poza granicami dóbr, rzadziej stosowano tzw. narzuty, czyli zobowiązania chłopów do nabywania pewnej ilości piwa z pańskiego browaru.

Mieszczanie z mniejszych miast, którzy próbowali łamać monopol propinacji, byli karani srogim więzieniem i biciem, a na ostatek i winami pieniężnymi.

Na ogólnej tendencji utrzymywania monopolu piwowarstwa przez szlachtę zdarzały się wyjątki, np. w Wielkopolsce właściciele wsi w większości nie korzystali z krytykowanego prawa „narzutu", na własny koszt organizując produkcję i wyszynk piwa. Dwory wydzierżawiały też propinacje sołtysom lub karczmarzom. Również niektórzy chłopi – gospodarze otrzymywali

zezwolenie na warzenie piwa przeznaczonego na przyjęcia weselne, chrzty lub stypy. Czasem jego ilość była precyzyjnie określona, np. 3 beczki rocznie. W pierwszej połowie XIX w. piwowarstwo na ziemiach polskich traci coraz bardziej cechy rzemiosła, a nabiera charakteru produkcji przemysłowej. Likwidacji ulegają małe browary, na ich miejscu powstają większe, nowocześniejsze. W tym czasie wybudowane zostają znane do dziś: browar w Okocimiu w 1845 r., w Warszawie w 1846 r., w Żywcu – w 1856 i w Tychach (od 1861 r. następuje znaczna rozbudowa browaru).

W latach 1890-1900 na terenie Polski czynnych było ponad 500 browarów, ich łączna produkcja wynosiła 6 mln hl piwa rocznie. Spożycie piwa było w tym czasie dość duże, wynosiło ponad 34 l na 1 mieszkańca. Naturalnie w różnych częściach Polski spożycie to kształtowało się różnie: najwyższe było w Poznańskiem, na Pomorzu i Śląsku – ponad 115 l, w Małopolsce – 39,4 l, w Kongresówce – 10,2 l, na Kresach Wschodnich 6,1 l. Przed I wojną światową na terytorium późniejszej niepodległej Polski istniało 321 browarów. Wysoka jakość produkowanego wówczas piwa pozwalała na jego eksport. Produkcja rozwijała się pomyślnie do czasu wielkiego kryzysu ekonomicznego w latach 1931-1935. Podczas kryzysu spadek produkcji był tak znaczny, że duże browary produkowały 3 razy mniej niż w 1929 r. Ponowny wzrost produkcji następował bardzo powoli, niemniej był on znaczny, gdyż ówczesny przemysł opierał się na silnej bazie surowcowej. Polska była liczącym się producentem jęczmienia w skali europejskiej (zajmowała 4 miejsce po Niemczech, Hiszpanii, Rumunii, a przed Francją i Czechosłowacją). Eksportowała duże ilości do Francji, Wielkiej Brytanii, Belgii i Danii. Zajmowała też jedno z czołowych miejsc w Europie jako producent chmielu, jego nadwyżki eksportowano do Niemiec, Belgii, Anglii, Holandii, Francji i Czechosłowacji.

Pracownicy przemysłu piwowarskiego zrzeszeni byli w Związku Piwowarów. Związek pełnił ważną rolę nie tylko jako obrońca interesów swoich członków, ale również jako popularyzator wiedzy fachowej, m.in. przez wydawanie fachowego czasopisma dla piwowarów i słodowników „Przegląd Piwowarsko – Słodowniczy". Związek szkolił też młodą kadrę piwowarów.

Jakie produkowano piwo w dawnej Polsce? Otóż, było tak dużo rodzajów o różnorodnych smakach i jakości, że sama systematyka zajęłaby wiele stron. Nie jest to jednak tak istotne. Faktem jest, że pito bardzo dużo, a w literaturze z tego okresu nie brak zarówno przesadnych pochwał piwa, jak i ostrej krytyki.

Jednym z bardziej popularnych było wówczas piwo wareckie, pochodzące z Warki. Współcześni opisywali jego „czysty smak i jasny kolor", jednocześnie stwierdzając, że znane i lubiane jest w całej Polsce. Z piwem wareckim wiąże się anegdota o papieżu Klemensie VIII. W czasie swojego pobytu w Polsce, podróżując jeszcze jako nuncjusz papieski, bardzo chwalił zalety wareckiego piwa. Wracając do Rzymu zabrał ze sobą pokaźny zapas smakowitego napoju. Po pewnym czasie, będąc już papieżem, ciężko zachorował na wrzód w gardle. Stan jego był beznadziejny; dręczony gorączką wzdychał: „O, santa piwa di Polonia, o santa biera di Warca". Otaczający łoże słysząc te słowa przypuszczali, że chodzi o jakąś nie znaną im świętą, powtórzyli więc modlitwę uzupełniając ją słowami: „sancta Piva di Varca, ora pro nobis". Chory słysząc to roześmiał się głośno, wrzód pękł i życie jego było uratowane.

Z różnorodnych piw wielkopolskich jedynie grodziskie, jasne, lekko musujące, do dziś dnia znane, cieszyło się uznaniem. Tak o nim pisano: „... szlachcic, który nie miał w swojej zagrodzie piwa grodziskiego, poczytany był za mizeraka albo skąpca. Tej estymacji przyczynili mu wiele doktorowie, przyznając mu cnoty wód mineralnych; jest to piwo cienkie i smakowite, głowy nie zawracające".

Z tym piwem związana jest również ciekawa legenda. Pod koniec XVI w. z klasztoru Benedyktynów w Lubiniu wybrał się do Grodziska jeden z braci – Bernard. W mieście zastał bardzo zmartwionych mieszkańców. Okazało się, że wyschła studnia, z której piwowarzy czerpali wodę. Świętobliwemu Bernardowi zrobiło się żal biednych ludzi i sprawił, że wyschnięta studnia ponownie napełniła się wspaniałą wodą. Piwo stało się wówczas napojem o niezrównanym smaku, a wdzięczni piwowarzy pilnowali, aby w każdym roku klasztor otrzymał olbrzymią beczkę piwa.

Nie cieszyły się takim powodzeniem piwa mazowieckie; poza wareckim nie było pierwszej jakości. Poza wymienionymi, w okolicach Warszawy, pito piwo łowieckie, w Lublinie – wąchockie, w Poznańskiem – grodziskie.

Poza krajowymi znane były też różne piwa zagraniczne, w XVIII w. do najmodniejszych należało angielskie. Początkowo część smakoszy odnosiła się do tego piwa nieufnie, ale snobizm nakazywał pić je i chwalić. Gdy moda zaczęła się szerzyć, zastanawiano się nad wyrabianiem podobnego w kraju. Pierwszy wpadł na ten pomysł koniuszy wielkopolski w połowie XVIII w., potem zaczęto wyrabiać nowy gatunek piwa wzorując się na angielskim porterze. Nie dorównywały one jednak walorom oryginalnego, toteż dość szybko straciły na popularności, zaczęto wszystkie piwa krajowe uważać za trunek dla pospólstwa. Snobizm ten wyśmiewany był przez ówczesnych pisarzy i poetów. Między innymi Krasicki w swoich „Gustach" kpi ze ślepego naśladownictwa i niedoceniania wszystkiego, co polskie.

cdn.

Stanisław Prałat

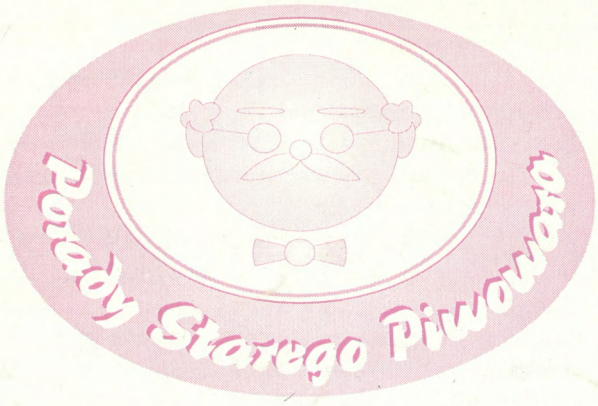

Grzyby marynowane

1 kg grzybów, 150 g cebuli, 0,4 l wody, 100 g cukru, 10 g soli, 0,2 l octu 10%, przyprawy do smaku, pieprz, ziele angielskie, gorczyca, goździki, chrzan

Do marynowania nadają się kapelusze młodych borowików, maślaki, rydze, gąski, kurki, opieńki oraz grzyby hodowlane: pieczarki i boczniaki. Oczyszczone grzyby umyć i gotować około 15 minut w wodzie osolonej i lekko zakwaszonej (kwaskiem cytrynowym). Następnie grzyby odcedzić, przelać przegotowaną zimną wodą i ułożyć w słojach. Można między grzyby włożyć zblanszowane, małe cebulki w całości lub grubo pokrojone krążki większej cebuli. O smaku grzybów marynowanych decyduje zalewa z gotowanej wody z dodatkiem soli, cukru i octu lub kwasu cytrynowego. Do napełnionych grzybami i cebulą opakowań dodać po kilka ziaren pieprzu, ziela angielskiego, gorczycy, 2-3 goździki i kilka struganych wiórków chrzanu. Słoje zamknąć i pasteryzować około 45 minut.

Węgorz w piwie po polsku

900 g węgorza, 3/4 l piwa jasnego, żółtko, 75 g masła, łyżka mąki, 8 grzanek, natka pietruszki, sól, pieprz

Oczyszczoną rybę pokrajać na dzwonka, obsmażyć na ostrym ogniu w części masła, posolić, posypać pieprzem, przełożyć do naczynia, polać piwem, posypać natką pietruszki. Pod przykryciem dusić ok. 45 minut na bardzo małym ogniu, w tym czasie usmażyć grzanki. Pozostałą część masła stopić, dodać żółtko, dobrze wymieszać. Na ogrzanym półmisku ułożyć ostrożnie rybę. Pozostały sos z duszenia doprawić przygotowanym masłem i żółtkiem, zagotować. Rybę polać sosem, wokół ułożyć grzanki.

Zupa piwna po poznańsku

1 l jasnego piwa lub 0,5 l piwa i przegotowanej wody, cała cytryna, 2 goździki, mielony cynamon, 75 g cukru, 2 łyżki mąki zmiemniaczanej, 2 jajka, szczypta soli i cukru

Do piwa dodać skórkę otartą z cytryny, goździki, cynamon, sól i cukier – podgrzewać nie dopuszczając do zagotowania. Mąkę rozprowadzić dwiema łyżkami zimnej wody i dodać do piwa energicznie mieszając przez cały czas. Włączyć piekarnik. W tym czasie białka ubić z łyżką cukru na sztywną pianę. Zupę przelać do czystej wazy, przykryć ją pianą, wstawić do gorącego piekarnika i potrzymać do momentu aż piana zacznie brązowieć. Natychmiast podawać.

Stanisław Prałat

KRZYŻÓWKA Z HASŁEM

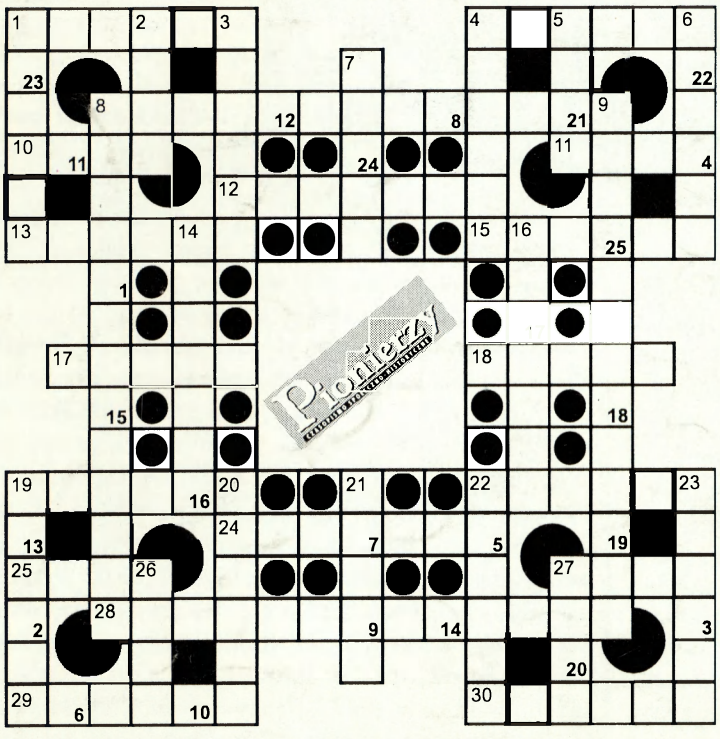

POZIOMO:

1. wylatuje z lufy, 4. zasłona, portiera, 8. przystosowanie się ludzi do innych warunków, 10. psia „narzeczona", 11. dzielnica Warszawy, 12. szopka w okresie Bożego Narodzenia, 13. nakłanianie, namawianie, 15. urzędowy spis cen, 17. beczka na piwo, 18. odłam wyznaniowy jakiejś religii, 19. ogier, knur, lub kogut, 22. człowiek bezwartościowy, zły, 24. wysłużeni pracownicy jako klienci ZUS-u, 25. sedno, rozsądek, logiczność, 27. pies z lasu, 28. asystowanie na spacerze, 29. okres dziesięciu dni, 30. kilim na ścianę.

PIONOWO:

1. drzemka przed telewizorem, 2. polska kawa rozpuszczalna, 3. wielki, gęsty las, 4. ozdoba męskiej koszuli, 5. drzewo iglaste, żywotnik, 6. konanie, 7. choroba XX wieku, 8. instrumentalne towarzyszenie soliście, 9. umieszczanie daty wyprzedzającej datę kupna towaru, 14. ferie szkolne, 16. siłaczka, 19. mieszka za ścianą, 20. leży na kuchennym stole, 21. głośne wołanie o pomoc, 22. szkoła średnia, 23. chętka na coś, apetyt, 26. nocny ptak, symbol mądrości, 27. sto lat w dziejach Ziemi.

STANGAR

Litery z ponumerowanych pól w dolnych prawych narożnikach od 1 do 25 utworzą rozwiązanie, które należy przesłać na adres redakcji „Pionierów" do dnia 30 XII br. Za rozwiązanie hasła redakcja rozlosuje ciekawe upominki.